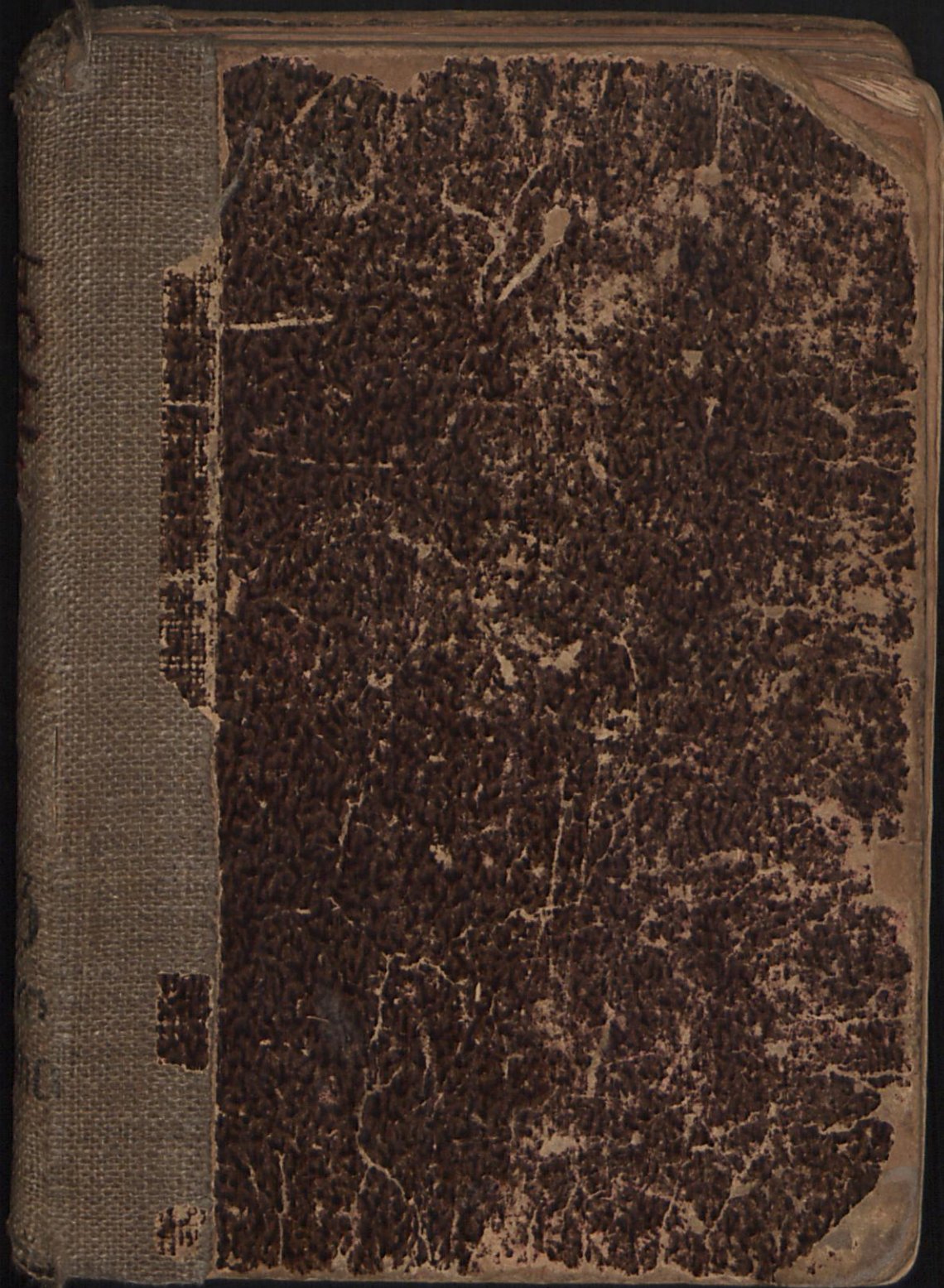
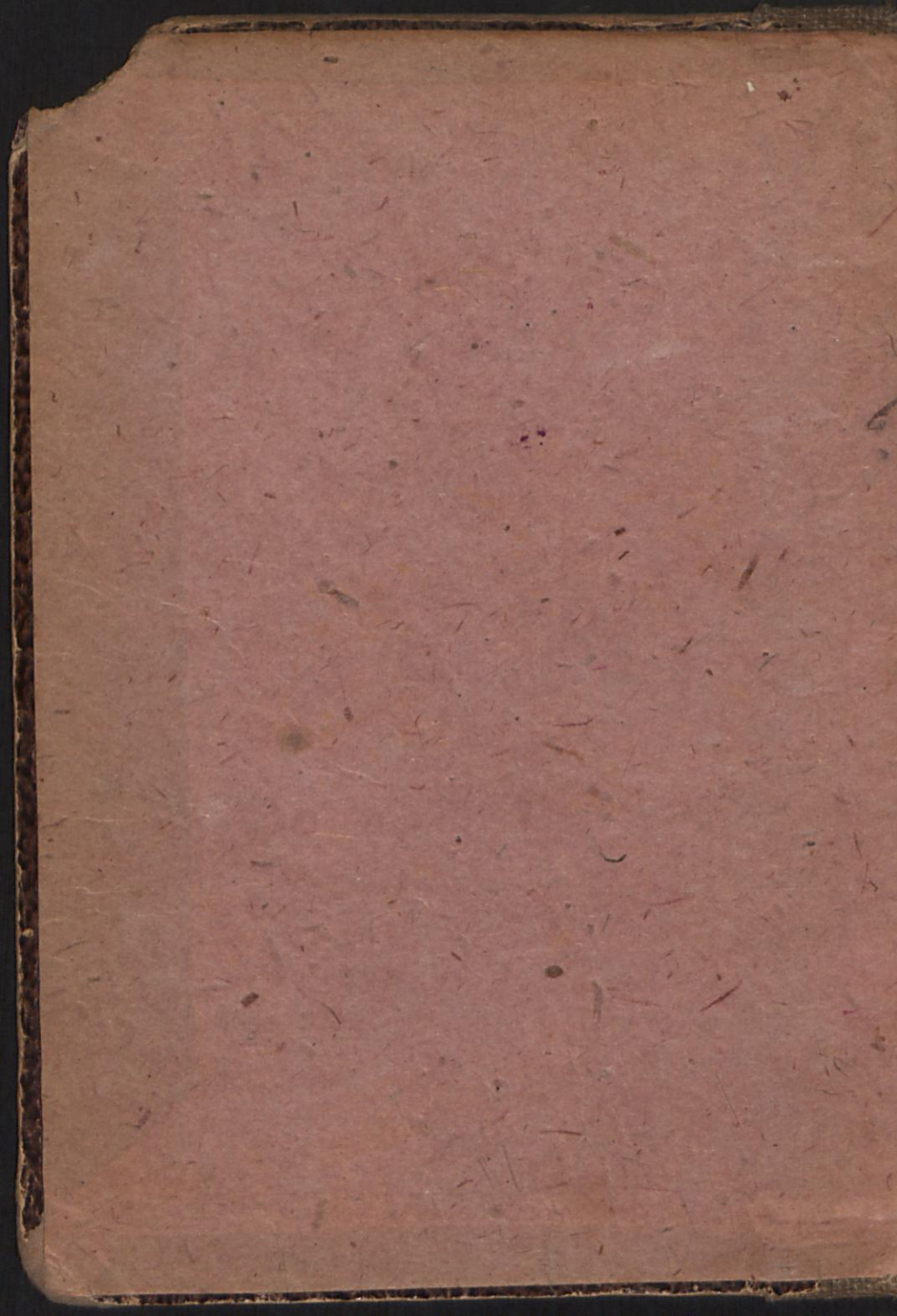
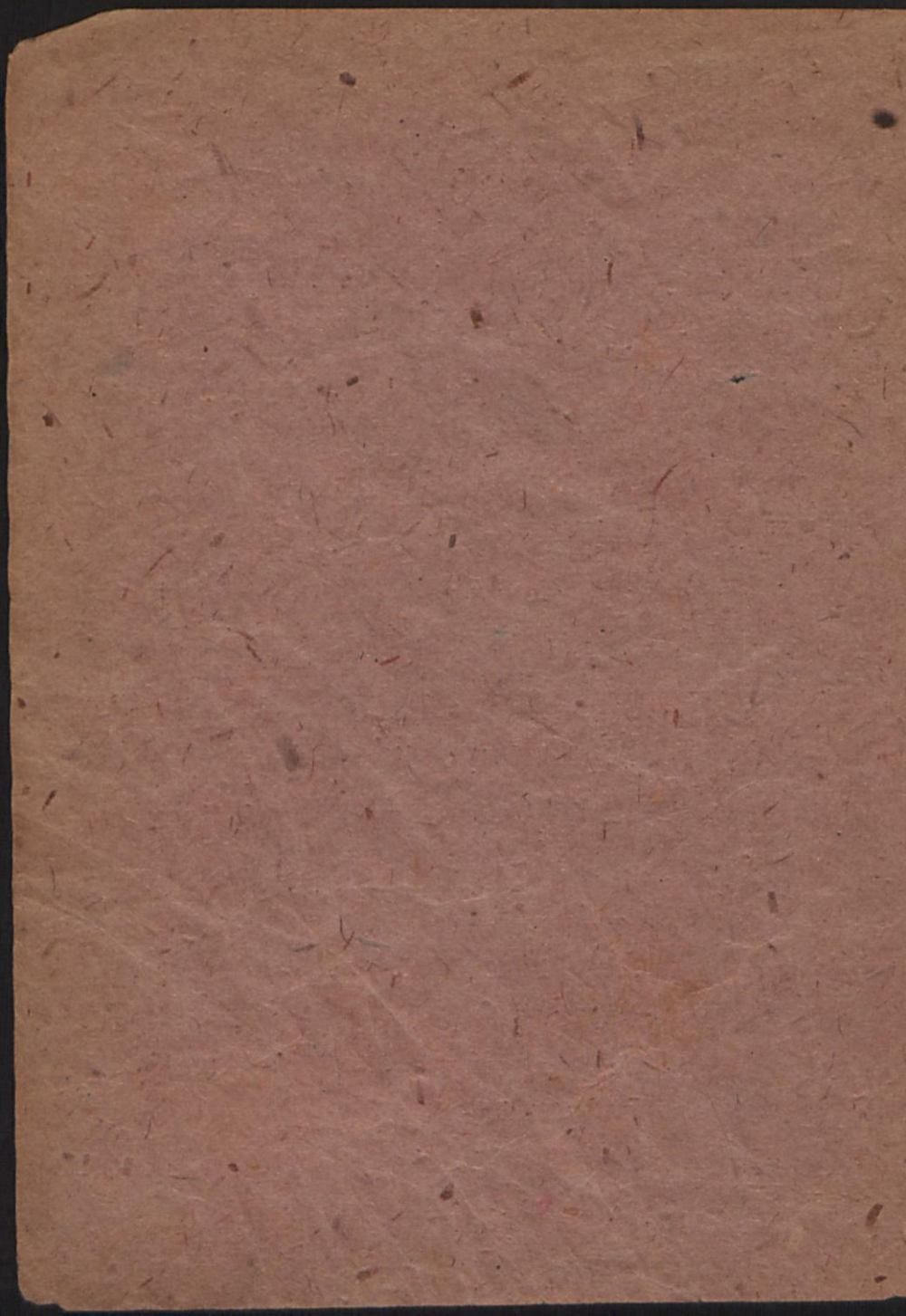






✓
~~1424~~

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu.



1454

DUMA O HETMANIE

UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO:

- Walka z Szatanem I. Nawracanie Judasza.** Powieść 1916.
Walka z Szatanem II. Zamieć. Powieść 1916.
Walka z Szatanem III. Charitas. Powieść 1919.
Aryman mści się.—Godzina. Wydanie drugie 1911.
Duma o hetmanie. Wydanie czwarte (w druku).
Dzieje grzechu. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1920.
Ludzie bezdomni. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911.
Opowiadania. (Doktor Piotr.—Cokolwiek się zdarzy.—Ananke.—Zmierch.—Żle przecucie.—Po Sedanie.—Zapomnienie.—Pokusa.—Silaczka.—Oko za oko.—Niedziela.—Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910.
O przyszłość Rapperswilu. Kraków 1912.
Organizacya Intelligencji zawodowej. Warszawa 1919.
Początek świata pracy. Kraków 1918.
Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. 3 tomy. Wydanie czwarte, drukowane w piątym roku wojny wszechświatowej.
Powieść o Udałym Walgierzu. Wydanie nowe. 1918.
Projekt Akademii Literatury Polskiej. Warszawa 1918.
Promień. Powieść. Wydanie czwarte. 1910.
Sen o szpadzie. Kraków 1911.
Sen o szpadzie i sen o chlebie. Zakopane 1916.
Silaczka.—Na pokładzie. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
Sułkowski. Tragedya. Wydanie drugie. 1910.
Szyfrowe prace. Powieść. Wydanie nowe. 1919.
Uroda życia. Powieść 2 tomy. Wydanie drugie. 1912.
Utwory powieściowe. (Na pokładzie.—O żołnierzu tułacz.—Tabu.—Cienie.—Kara.—Legenda o bracie leśnym). Wydanie czwarte. 1910.
Wierna rzeka. Klechda. 1913.
Wiśła. Warszawa 1918.
Wszystko i nic. Warszawa 1919.
Zmierch.—Cokolwiek się zdarzy. (B. U. L. Nr 41) 1907.

UTWORY MAURYCEGO ZYCHA:

- Echa leśne.** 1905.
Rozdziobłą nas kruki, wrony. Wydanie trzecie z rysunkami St. Janowskiego. 1905.
Słowo o Bandosle. 1908.

UTWORY JÓZEFA KATERLI:

- Róża.** Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910.

STEFAN ŻEROMSKI

~~1424~~
DUMA O HETMANIE

WYDANIE CZWARTE
PRZEJRZANE I POPRAWIONE PRZEZ AUTORA

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu.

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
WARSZAWA MCMXX KRAKÓW
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE
Mazowiecka 12, Stare Miasto 11, Marszałkowska 143

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.
Prawa autorskie co do przedruków, tłumaczeń i t. d. w Rosyi zarezer-
wowane na zasadzie ustawy z dnia 3 kwietnia 1919 r.
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred twenty.



1454

8-3 884-3
Żer 5
Duma

Księgozbiór BP



10085657

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

Drukarnia Naukowa, Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

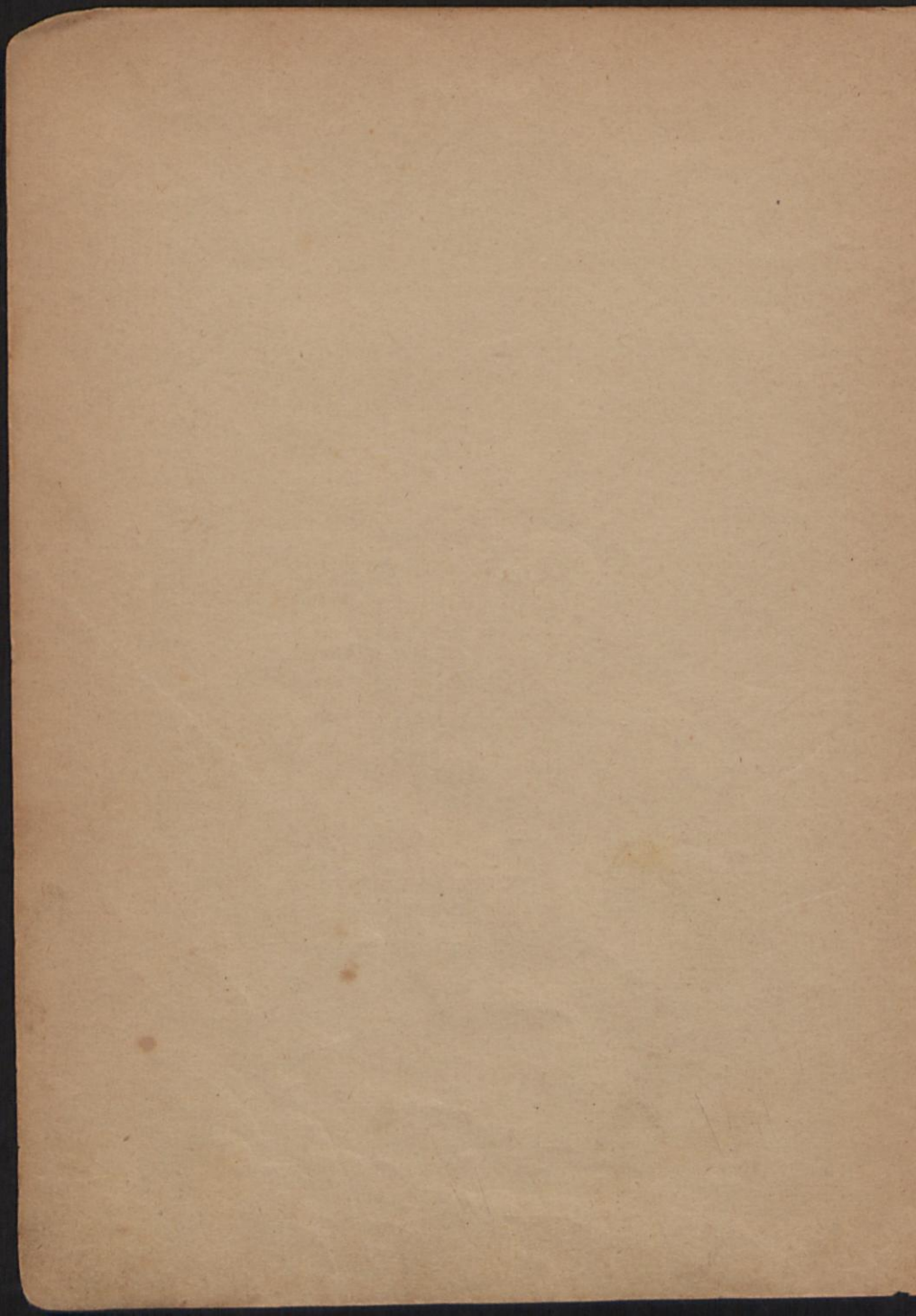
14161/P

SYNOWI SWEMU

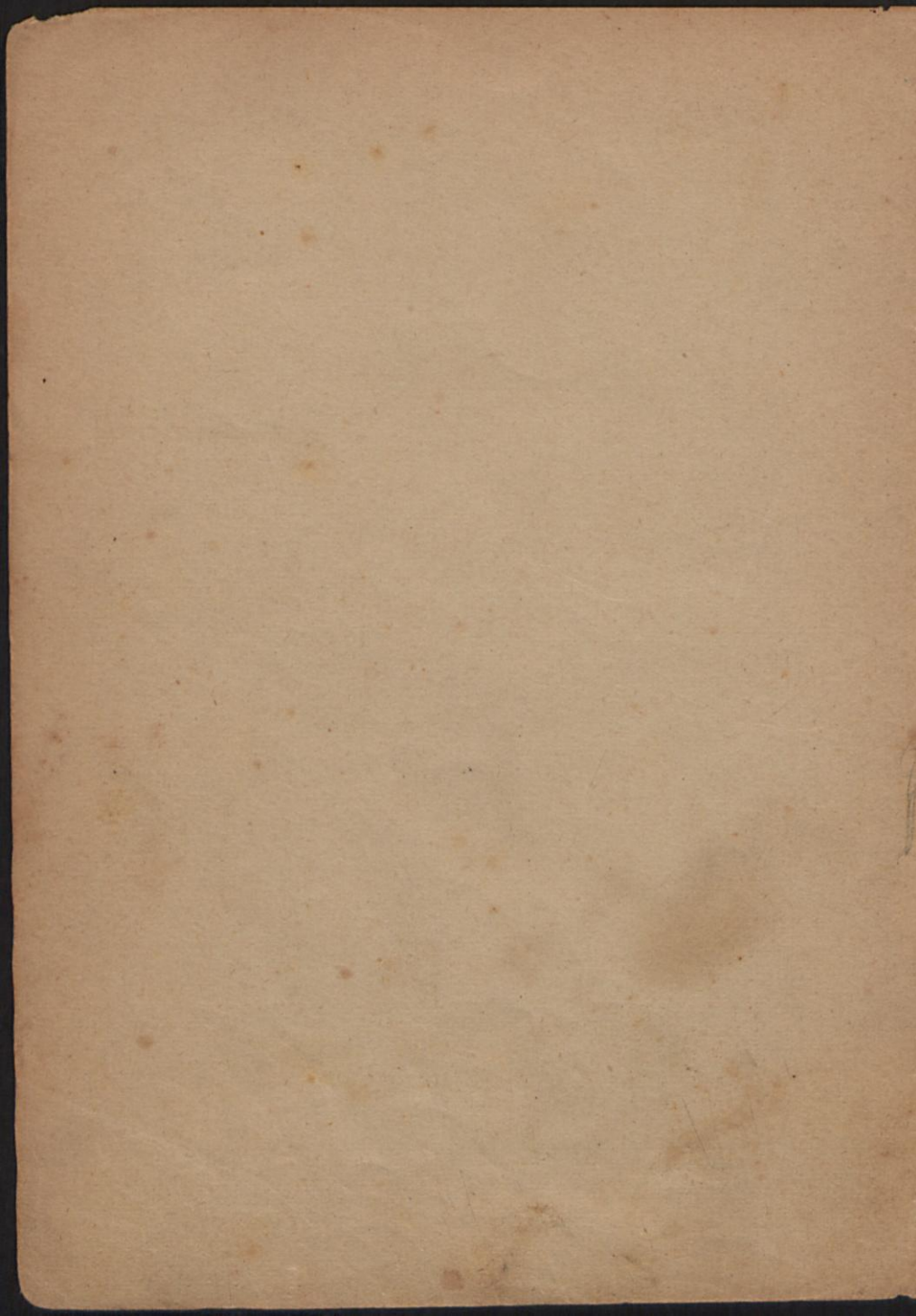
ADAMOWI

PRZYPISUJE TEN UTWOR

AUTOR



PROLOG



W śniadym dymie i w chmurach ponad morzem
wyrosłych jesienne słońce połyska.

W gestej kurzawie, wyrzuconej ze stepu, stratowa-
nego przez kopyta tatarskich koni, mdłe światło gore.

Niezliczona ċma kruków, lecąca niby skrzydła czar-
nego anioła, napęłniła szerokość niebieską i nad dzikiem
krąży polem.

Głuchy tętent oddaje ziemia sucha.

Daleki zgłęk niosą wiatry.

Prawica najjaśniejszego, najwielmożniejszego Os-
mana, Mekki i Medyny cesarza, siedem monarchij
i cztery kąty świata trzymająca, podniosła chorągiew
w stronach dalekich.

Wrzask trąby zagrzmiął nad morzem, między łą-
dami. Ciemnolice, posępnookie ludy rzuciły Eufrates,
Nil, Dunaj. Nad Archipelagu zielone morze, między
Tracyą i Azyi wybrzeżem, ponad Cyklady, Sporady,
Salaminę, Eubeę i Samotrace padło hasło.

Z Kandyi, Lemnos, Samos, Chios i Rodos uderzyli
we wiosła galar greccy żeglarze, ku Bosforu dążąc cie-
śninie.

Z czarnej Kemi, z nad kwiecistych grzęd Egiptu,
wyruszył murzyn, fellach i kopt.

Ze spiekłej, skalistej pustyni, z suchych wąwozów
puszczy libijskiej ciemny arab pomyka.

Z za nagich gór, z łożysk wichru, z pod bezchmur-
nego nieba, z okręgów suszy wiecznie płonącej wybiegł
beduin, szerokobiałym osłoniony burnusem.

Ze stron, których deszcz nie nawiedza, brnie pod
barwistym ciężarem garbaty wielbłąd, porożysty bawół
i pracowity muł.

Seciny wołów ciągną szczękającą armatę.

Niedościgły rumak pustyni, co cienia drzew nie
widuje, depce pachnący mrok w bukowych lasach serb-
skiej planiny, pławi się w zimnych nurtach Dunaju,
rozwiera nozdrza, wciągając jesienny wiatr z za Dnie-
stru, i w miękkich łęgach Prutu lekliwe stawia kopyto.

Lśni nad pochodem plemion pyłem okrytych po-
lysk złotego proporca.

Równemi korpusy dążą upierzone objagi jancza-
rów. Błyska groń włóczni persa, kurda i ormianina.

Albańczyk, bułgar, bośniak i serb ściska w mści-
wej dłoni rusznicę, wecuje po nocy jatagan, chandżar
gotuje do ciosu.

Szepcąc modlitwę ku czci Allaha, zaprzysięga ku
większej jego chwale przeszywać strzałą serca dzieci,
z dymem puszczać ruskie i polskie wsie i do podwa-
lin wyłamywać zamki po górach.

Sto kilkadziesiąt tysięcy cięciw czeka na strzałę.

Pożąda krwi zakrzywiona szabla, dzeryd — spisa,
wielka włócznia i hak.

W pustce nocnej zanosi się daleko melodya dzika.

Śmieje się w dal surma,—kotły takt biją,—żądzę
mordu podjudza tołumbas, brzękadło, żele i flet.

Nastąpił dzień, gdy zsiadły się, zgęstniały chmury.

Na pasmie gór, co od północy, zachodu i południa okrażają błonie cecorskie, zadymił się obóz turecki. Po prawej stronie mogiły odwiecznej stanął buńczuk wezrya Iskiender-paszy, rzędcy Sylistryi i Serdara Mołdawii.

Przednią strażą jazdy sułtańskiej dowodzi Chryzyr-pasza stary, Sarimsak, łakomca na czosnek.

Na prawem skrzydle zatknął znak Jussuf-pasza, Rumelii bejlerbej,—Hussejn-pasza,—Muhammed, zwany Terjaki, opiumożerca, władca sandżaku Nikopolisu.

Na lewem skrzydle, po zboczach gór, panujących nad Deli doliną, zawisła sześćdziesięciotysięczna nawałnica rwaczów tatarskich, której rozkaz wydaje han Krymu Dżanibeg-Giraj.

Brat przy nim Kałgaj-sułtan, namiestnik hański, Diwlet-Giraj, potomek szczepu Dżyngiz-hana, — książę przy nim Nebrie-Giraj z plemienia Mansurogli,—i straszliwy Kantemir-Mirza, Krwawe Żelazo, do słonia wściekłego przyrównywany.

Dwa olbrzymie ramiona we sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierza popod złowieszczemi skrzydłami kruków rozwarły się do uścisku.

Przeciw nim polskiego rycerstwa niespełna siedm tysięcy.

W zaszczycie dawnych, tak dwudziestopięcioletnich szanów i przekopów Zamoyskiego hetmana zaczajone błyszczą chorągwie.

Stanisław Koniecpolski, hetman polny, czyni w obozie rząd dzienny i dysponuje szyk w polu.

On ma pod sobą skrzydło prawe.

Na czele wszystkiej siły skrzydła lewego trzyma dowództwa buzdycan Samuel xiążę Koreckie, Pogoń

odwieczną na tarczy noszący,—w sercu niezgasłą żądze tronu, Heremia Mohiły, gospodarów multański zięć. Panię nieustraszone,—ów, co bez Rzeczypospolitej zezwolenia własną swą, korecką wojnę ottomańskiej potędze wydawał,—nie polskim, lecz Michała Wiśniowieckim, Stefana Potockim, Jana Przerębskim hufcom hetmanił,—dziesiątkami tysięcy trupa muzułmańskiego we dwudziestu bataliach zaścielał wołoskie pola,—hospodara Alexandrzyka, Domny Halźbiety Mohiłowej wdowy synaczka, sadzał na tron,—pojmany w boju konał nieustraszenie w lochu stambulskim,—junacko uchodził przez Raguzę, Sycylię, Neapol, Rzym...

Zakuty w żelazo, olbrzymi,—czarne dziwowisko,—piorun turecki,—wywlekał znowu miecz na półksiężyc.

Nad kornetami niemieckiej rajtaryi, przewodzi Herman Denhof młodociany.

Roty piesze cudzoziemskie sprawia dziki, niesforny, inflancki krzeczot-białożor, Wolmar Farensbach, wielkiego Jerzego, puszkarczów syn.

Wyszły na odwagę wojenną siły królewiał.

Stefan Chmielecki,—postrach tatarski,—z synami: Adamem i Łukaszem, prowadził ukraiennych pancernego znaku ośmset towarzysza.

Walenty Alexander Kalinowski, kamieniecki starosta, wiódł cztery pełne chorągwie.

Mikołaj z Komarowa Struś halicki,—Moskwy najeźdnik i krwiożerca,—stanął we trzysta kopij.

Mądry w radzie, mężny w boju, wytrwały w niedoli, Marcin Kazanowski, podolski wojewoda, cztery husarskie chorągwie sprawia.

W obleczeniu gorąco złożonych blach harcuje przed swoimi wojewodzie braclawski, Mikołaj Potocki młody.

Janusz ze Śniatyna Tyszkiewicz czterysta szabel ma pod sobą.

Stanęli w strzemionach sławni rotmistrze.

Jest Andrzej Karwicky i Jan Wąsowicz, Mikołaj Sienieński i Mikołaj Maliński — ponury milczący, zły Odrzywolski Jan — siłacz nadobny Alexander Morsztyn, Alexander Cetner i Jan Malecki.

Z prawej ręki, daleko za wałami ponad rzeką Żyżją i błotnemi szuwarey położył się obozowiskiem, a strażę na prawo i na lewo wysunął Walenty Rogawski z trzynastoma stokonnemi rotami lisowskich strażników.

Żelaza na nich nie ujrzeć, chyba pod końskimi kopyty, u lewego boku i na ramieniu. Wysokie z ich łbów golonych zwisają czapki, płaszcze opięte z szerokim kołnierzem chronią od dżdżu.

Ciasne na nich, wielobarwne, na ziemiach dalekich wdziewane ubiory, juchtowe, mocno podkute buty.

Pokładając się na krótkiem siodle, puszczaają w jaśkółczy harc zwinne, lotne i rącznie swe konie. A gdy raz czwalać poczną, ocieka krwią krzywa szabla, dzwoni ciężki łuku, dymi się długa rusznica.

Twarze ich zgorzałe od wichru, co je chłostał między Lodowatem i Kaspijskiem morzem, między uralskimi i alpejskimi lodozwalami, w tysiącu bojów prochem odymione, wychudłe w pochodach przez Węgry, Czechy, Niemce, Lotaryngię, Szampanię, aż po Paryż.

W tyle obozu nad rzeką stoją kosze kozackie wolontaryuszów zaporoskich młodego Chmielniczenki Bohdana. A Bohdan Chmielniczenko pogląda zdala zadumany w panów polskich zbroje, w ciurów obóz zgilek-

liwy... Połyskują jego mołojców arkabuzy, guldynki i toruńskie muszkiety, janczarki w polach nadmorskich zdobyte, bandolety i nośne samopały. Dzwonią w jego obozie śpiewne bałabajki.

Tęsknią do lotu strzały w sajduku.

Równy z czołem pancernego szyku, z prawej i lewej strony czyhają zasłony armaty, złożonej z falkonetów, z hakownic, śmigownic i wozów.

Miała iść w bój z taborami wszystka armata. W każdym taborze pięćdziesiąt wozów we cztery rzędy. Między rzędami kapitana Trzebuchowskiego piechota po kilkaset żołnierza i draby pod kapitanem Almady. W czele każdego taboru, w tyle i z boków od pola po cztery działa. Cały regiment armaty dla strychowania pola boju miał pod sprawą zimny, sumienny a prawy Teofil Szemberg.

W głębi obozu tłoczyły się zbiorowiska ciurów, wielka liczba czeladzi, pacholków pańskich, hajductwa, strzegącego luźnych i jucznych koni, drabów od juków i kolas, służby husarskich chorągwi i włóczęgów idących za wojną.

W pośrodku wojska, między synem Janem, hrubieszowskim starostą, synowcem Łukaszem, kałuskim, a Alexandrem Bałabanem, winnickim, siostrzeńcem z żółkiewskiej krwi, — orzeł-mogilnik, rzeczypośpolitej wojen i rada, — Stefana króla żołnierz, — hetman i kanclerz, sławy polskiej piastun, na oczu wszystkich w wysokiej, cecorskiej krzepi... Kołpak na nim ciasny z czapłem pierzem, znacznie wydanem.

Wiatr pierze muska.

Lamparcia zwisa skóra z twardych karwaszów złocących ramiona. Nieruchoma buława, — znak chwały

polskiej, cnoty męskiej, przelanej od wieków krwi—
na łęku siodła spoczywa.

Grzeje się koń i niepokoi pod kanafacowym czaprakiem, pod siodłem srebrnostrzeniennem, w złoto oprawnem, drogami wysadzonem kamieniami.

Wyciąga gibką szyję hetmański koń, co po dziedzińcu kniazia Groźnego Iwana, po Łobnem miejscu Borysa, u wrót dwuramiennnej cerkwi Błażennego Wasyla srebrną dzwonił podkową. Czujnemi chrapy wciąga wiatr z obozowisk Skinderbasznych lecący...

Dostojne czoło hetmańskie, ozdoba rasy, szedziwemi oplecione promieniami, na załogę bezpieczeństwa ojczyzny z granic jej wyniesione, duma nad sprawą. Majestat i piękno twarzy tej, skryte w niej sumienie szlacheckiego Polski gminu,—włada tłumem.

Uśmiech, żalosna mądrość, szydzący i miłościwy, na ustach siadł i nie schodzi.

Czujne oczu spojrzenie w dal poleciało ku olbrzymiemu wrogowi—i nie wraca, jakoby ów podjazd szalony Odrzywolskiego Jana, co pocwałował orłoszumiający skrzydłami w paszczkę nieprzyjacielską,—i nie wraca.

Powiał z dalekich kosztów Gałgi, z czat Kantemira gwar, zgiełku echo, poryk bydła, rżenie koni.

Wzmógł się uśmiech od głębokiej hetmańskiej dumy.

Ściągnie się w przestrzeń biała dłoń.

Pomyka z oczu przymrużonych w dal wyzwanie:

— Nie ciebie się boję,—nie ciebie się boję o wrogu! Nie ciebie się boję, zewnętrzna potęgo, nawalności janczarska, co mię strasznemi chcesz ogarnąć skrzydłami,—góry kamienne na piersi me dźwigasz i kraczesz nad sercem złowieszczych wron chmurą. Nie

wobec ciebie trwoży się serce moje, gdy zstępujesz nieprzejrzanym obłokiem na tę garsteczkę szlacheckiej krwi, — gdy błyskasz włócznią setek tysięcy i Goliata wywlekasz miecz.

Dawidzie mój!..

Zwróciły się oczy hetmańskie na zastęp siedmiotysięczny i szły po chorągwiach kolejną, kolejną. Patrzą w demeszkowane szyszaki pancernych korony, na kopije lasem stojące z powiewnym, jak welon proporcem i grotem błyszczącym, — na pancerze ruskich województw srebrem nabijane i złotem. — na litewskich petyhorców poczty, przybrane w brzeszczotowe koszule i gięte kolczugi. Obejmują głowy misiurkami okryte, hartują miecze u boku szerokie i długie, utwierdzają drzewa kopii olbrzymiej, przywiązane do łokcia sznurem z jedwabiu.

W pośrodku, między taborami, na czele, troistym szykiem w półkole, we sto dwadzieścia koni każda, husarskie czatuja chorągwie hetmanów!

Rozkosz oczu rycerskich, pociecha ducha twardego!

Tarcze z rodowemi lśnią znaki.

Rycerze i konie obleczeni w kirys. U boku ich — koncerze. Pod prawą nogą u siodła — rapier do ścinania wroga, dziewięćłokciową zwałonego na ziemię kopiją. Na łęku młot sześciofuntowy do miażdżenia szyszaków, albo berdysz dwubrody do płatania napoły pancerza. Skóry lampartów i lwów, czarnych albo białych niedźwiedzi i wilków na barach. Z przyłbic strzelają czaple kity, pióra żórawie, indycze i bocianie. Zaramienne skrzydła w kunsztownej oprawie zrosły się w las, w puszcę młodą, po której strzelistych pió-

rach sława szeleszcze. Długie, ze złotemi krzyżami, żółte i białe, czerwone i błękitne wieją proporce. Hetmański na czele znak, drzewo z wprawionem w nie skrzydłem rozpostartem orłowem.

Przed chorągwiami rotmistrze. Na czele ich—pułkownicy. Przy znakach pancernych trębacze z surmą przy ustach na sygnał czekają. W pogotowiu pałki trzyma bębenista.

Ponad nimi wszystkimi, jako żalosny polski biały ptak, polata myśl hetmańska, wszystko nieulekłem rozsądzająca baczeniem:

— Ciebie się nie tylko boję, lecz lękam, o wolna, o kresu nie znająca duszo polska!

Przed tobą drzę, ty niełaczna, krnąbrna, sama siebie szaleństwem chłoszcząca, ty, samej sobie nieznana i nikomu niewiadoma...

Widziałem cię w krwawych bitwach.

Gdyśmy się siekli w pałasze z kozaki i wojewodą Michałem, pod Rewlem z Karolusem, pod Tropcem z Moskiewskiego tatary, u bram niezłomnego Połocka, pod tynami płonącemi Wielkich Łuk, we trzydziestu nogajskich zagonach, w inflanckich i multańskich potrzebach, w kłuszyńskich opłotkach i na wielkiej moskiewskiej drodze, gdyśmy w dziesięć tysięcy szli na kraj świata po Monomacha czapkę szafirową dla polskiej skroni królewskiego dziecięcia... Widziałem cię w byczyńskiej opresyi, gdy w dyabła łańcuckiego kudłaty łeb przyszło cisnąć siekierą,—i pod Guzowem, gdy po ramię i po kolana trzeba się było ubroczyć w rodzonej krwi...

Och, polskiego wyuzdania ducha, wrosły w serce, ojcowski, własny,—a obcy, rodzimy,—a wrogil!

Nie przed najeźdźcą drży moje serce, lecz przed wami, o sobie — pany!

Każdy z osobna wódz, każdy król. Pan Jerzy Mniszek — król sobie, Wisznowiecki — sobie, Sapieha — sobie, Samuel Tyszkiewicz i Mohiłowi zięciowie. Każdy zależy tylko od Boga i od swej woli. Z kim chce, z tym zawiera przymierze, z kim chce prowadzi wojnę i gdzie chce szuka ojczyzny. Dyabeł Stadnicki i Ludwik Poniatowski zdobywają zamki i dwory, palą wsie i łupią miasta w ojczyźnie. Krzysztof Zborowski własne państwo zborowskie zakłada, przeciwko Polsce zmawia się z Moskiewskim i Rakuszaninem. Samuel banita praktykuje kozaki przeciw ojczyźnie. Zebrzydowski zgromadzi stotysięczną armię przeciwko panującemu królowi. Lisowski w kilka tysięcy urwanego od szubienicy człowieka rozbija ogromne pułki jędownładców północy pod Zamkiem Biełozierskim, u Wielkiej Soli, pod błotnistym Suzdałem, zdobędzie niezmierną krainę dla impostora Dymitra i Maryny. Oleś Zborowski Samuelów oświadczy, że Polski za ojczyznę mieć nie chce, jeśli król Zygmunt w jego sprawy, w jego zamki na moskiewskim budowane łodzie zechce zaglądać. Książę Koreckie we dwudziestu bitwach pogromi stotysięczne hordy na tem wołoskiem palenisku, wiecznie krwią polską gaszonem.

A jeśli swawolnicy zięciowie, prowadząc teścia hospodara na multański tron, podpał pod całą Rzeczpospolitą wzniecą, — skoro lisowczycy, wspierając cesarza z Bethlenem Gaborem, rozjuszą sułtana do tyła, że ogniem wielkiej wojny w Polskę wybuchnie, — kiedy przyjdzie wszystkiego odżałować, nieprzyjaciela ode-

pechnąć stos, gołe granice zastawić od nawały, — wtedy niełża!

Ze wszystkiej, z najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie znajdziesz, nie wyściskasz z kolan, nie wystoisz u drzwi przemożnych, nie wypiszesz tysiącem listów, nie wyżebrzesz przez rumor uniwersałów siedmiu tysięcy żołnierza!

Gdyby nie syn, nie siostrzeniec, nie bratanek, — gdyby nie koligaci zpod Karpat podnóża, co na słowo najświętsze zakłęci, skupią kilka rot w nagłym czasie i dla sąsiedniej wyjdą przyjaźni, — ilużby ze mną było?

Darmo w gnuśnej próżni, wśród ziewania ducha, wpośród mów, a szumnych odpowiedzi, w zimnem kole skomleć, gdzie w pośmiewisko obracają uniwersały, — żeby Warneńczykową strzałę woli na cięciwę Stefana króla zuchwałej rady położyć, — nie zastaniać dziś od nawały nagich ścian kraju, bo tu u węglów śmierć się wałęsa i w wywalonych czeka drzwiach, lecz w nieprzyjaciela ślepie iść, najeżdżać go w jego kraju, skoro z legowisk swoich wyszedł, żeby przyćmić Europy oświatę i na karku polskich ludzi wolnych postawić nogę.

Lecz któż w płytkie serce ludzi wolnych tchnie, żeby w sobie jedno uczcili Prawo, niem się związali, zbudzili wolę, wzniosłość i zachwyt wielki?

Jeśli nie skoczyć z tym zastępem, sam na dwudziestu nieprzyjaciela, zarzucać w tył zniewagi, idąc na swą pijatykę, me główne imię z niedbałą sarmacką pychą, z niewdzięczną polską fantazją, jako wylot kon tusza. A jeśli skoczyć i przegrać, ukamienują obłudnym

szlochem mą pamięć, unurzają moje imię wojenne
w błocie obmowisk i jawnego oszczerstwa, cisną je
w pomietle pospólnego sądu, w śmiechu swym bezro-
zumnym zagrzebią i przypną mi nad wiecznym mym
hełmem kitę przekleństwa.

Daleko w polach wzbiły się pyłów obłoki.
Wrzawa odległa... Tatarski nagły krzyk.
Podjazd niósł bitwę.
Zcicha wyszeptał kanclerski syn głuchą radę:
— *Macie!*
Mgła zasłoniła ojcowskie żrenice.
Wzmógł się hetman głębokiem westchnieniem.
— Zestąp się i zrośnij w jedno, o rozszarpany
polski duchu!
Stań się Moc!
Twardem spojrzeniem poruszył buzdygany wodzów.
Dźwignął nagle buławę. Wielkim zamachem dał znak!
Zawrzasy — larmo — trąby. Uderzył bęben.
Szczękną natychmiast zasłony wozów wraz z „ko-
byłami“ armaty. Zadzwonią łańcuchy.
Drgnęły usarskie chorągwie, kołem na czele stojące.
Zakołysał się pancernych szyk za szykiem.
Nim z łuku strzelić—olbrzymi nieprzyjaciół obłok
wywinie się z za kurhanu, pędząc za ciasną polską ko-
lumną podjazdu.
Tatarski wrzask rozjuszony kędyś na tyłach obo-
zu, zagłuszył strzały armaty Szemberga.
Runie z pędem niezłomnym w środkową nawalę
turecką Chyzyra-paszy, z drzewem pod pachą, jasna

broń kanclerzowej chorągwi. Wparł żeleźca w boki biegunów husarski polnego hetmana szyk.

Kłęby dymiącej kurzawy zasłoniły pole.

Wszystka nawałnica wielotysięcznego gminu nieprzyjaciół pędem uderzyła w pierś lecących z kopyta. Śmiga w bój, pałac z rusznic, lisowski pułk. Pokładli się jeźdźcy lisowscy na koniach, szable w ich ręku błyszczą. Srogi ich krzyk przeszył powietrze.

W dali, poza obozem, idą w śmiertelne z tatarami zapasy kurzenie kozackie.

Z dzikiem stękanie, rżąc boleśnie, runęły na się piersiami, lecące, rozhukane konie. Spięły się na zadach, stanęły dęba i wzajem się pyskami kásają.

Niemasz w cieśni tej miejsca na złożenie gładką kopiją.

Bielma ślepiów w bielma zajrzały, jakoby w otchłań śmierci. Wpiera się kolano w kolano. Brzeszczot wprost w brzeszczot strzela, kord praska w kord. Obuch gruchota przyłbicę,—jatang spodem sztychem brzuch rozdziera,—koncerz płata, jako szwy sukienne, stalowe nity kolczugi, a żelazna rękawica wyrywa z olstra wrogiego pistolet, albo, dosięgnawszy gardzieli, wydusza z niej potężnym uściskiem ostatni dech.

Śmiga w nieulękłe twarze czarnych strzał zawieja.

Staje w sprawie i w bój idzie ruchoma grobla prawego taboru Drogonia, Lewikowskiego, Ochyja.

Grzmocą w twarz turecką spiżowe cielska Szemberga, pokotem trupów zaścielając cecorskie pole. Nieulękłym krokiem, pałac raz wraz z gwintowanych guldynek, z rusznic tarczowych i nośnych samopałów postępują saboty kapitana Almady.

Opóźnił krok tabor lewy armatni.

Odślonił czoło i bok wojska. Wstrzymał tylne szeregi.

Nie mają placu wolnego następujące chorągwie pancerne. Poczna, skokiem pole mijając, uderzać w tyły lewego taboru,—odpychając go dalej a dalej...

Tak się lewe skrzydło bojowego rzędu odśloni i zmiesza.

Uderza w tę lukę wróg.

Trzymają na piersiach nawalność usarscy rotmistrze.

Skręca się w miejscu jazda, wirem ogromnym zatacza i wielkie koło włócznie, obraca się w powodzi wroga.

Postrzegli zamieszanie wodzowie.

Samuel xiążę Koreckie na czele swoich chorągwi posiłcznym hufcem przedrze się ku wojowisku.

Paruje do sprawy zgniecione szeregi. Dysponuje szyk stały.

Ujrzeni wrogowie i swojacy kadłub jego olbrzymi na koniu zakutym w stal, gdy w prawo i w lewo miotać się począł od ciosów wielkiego koncerza.

Nanośna stal przyłbicy, jak skrzywiony, a rozarty dziób sępa zda się jadownicie klwać truchło padające.

Oburącz wojen rąbie z ramienia. Sztychem błyskawicowym nawskroś przebija. Dzikie oczy, w szczylinach maski gorejące, gaszą pierwszej żywoty, nim straszliwe ramię śmierć zada. Pot krwawy sączy się szparami żelaznych rękawic i ścieka z pod szyszaka. Głuche stękanie rwie się z piersi okutej,—ni to robotny pomruk drwała, co ścina pień odwiecznego buka, niepołoma dla halnych wichrów w tatrzańskej puszczy.

Zmydlony koń, złotem od bezcennego rzędu migający, skacze susami w puste ulice ludzkiego przerażenia, rży dziko, wykręcając się wokół na zadzie tanem bojowym w okrągłych porębach śmierci.

W prawym szyku Herman Denhof, jak strzała wbił się w skrzydła janczarskie. W zagon spahisów się worał. Dwie chorągwie rajtaryi w łosie kurty zaszyte, wciosały się pod jego rozkazem i utkwily w czele wroga, jak czekan nieugiętą ciśnięty prawicą. Z niewyrwanemi z piersi strzałami, biały od uszłej krwi, a z obliczem, które już śmierć całuje i ramieniem otacza, idzie na wytrwaną do mety swej pułkownik młody. Krzyk jego śmiertelny, śmiech jego donośny nad zgiełkiem bitwy lata, umierającym waleta, mężnym pozdrowienie:

— Za pokochaną ojczyznę! My, którzy nie uchodzimy!

Każdy rajtar walczący u boku dowódcy bije się z dwudziestoma wrogami. Ilekroć wódz po za siebie okiem ciśnie, widzi dziury w rzędach, zdychające rumaki, siodła bez jeźdźców i grzywy samopas pędzące w przezroczystem polu. A po sześciu godzinach boju, gdy ze dwustu towarzysza piętnastu zostanie w strzemionach, wyniosą wierne ręce żołnierskie zpod kopyt tatarskich koni strąlowaną, szaloną wodza głowę...

Wspomniał Marcin Kazanowski, — nigdy niezgasłe serce, toropieckie pola, nocne z Markiem Sobieskim, Samuelem-banitą i walecznym z Żółkwi rycerzem wycieczki w tatarski kosz. Zda mu się, jakoby króla wielkoducha namiot jeszcze miał za sobą w obozie... Uderza jego chorągiew w szeregi tureckie, stokroć za

szeregami występujące, jakgdyby katapulty miedziana głowica w niezłomny mur.

Klękają i o ziemię się walą konie jataganem zarżnięte. Rycerze ważą się naprzód i w tył od dziesiątków pieszego żołnierza zmożeni. Zepchnięci z łęku w ciżbie janczarskiej, ojczyźnie z przebitego serca oddają krew.

Spada z natarczywej ręki Jana Wąsowicza niepochwytany dla oka cios miecza w chłopcy z puszczy i z nad morza. W niezakryte brzuchy, w czaszki osłonięte jego zwojami kaszmiru rąbie rota Alexandra Cetnera. Idą nań ławą, która żelaza pancernych przebić nie może, uciec niema gdzie przed ciosami, więc przez jedwabne kaftany i wzorzysto szyte koszule ścinana wylatuje ze strzemion i pomostem się ściele. Zwartą idąc gromadą, bierze wroga na sztych, rozbija i targa jego szeregi Wolmara Farensbacha piechota, od krwi podkurty spływającej przemokła. Jęk niedobitych ze śliskiej tam woła ziemi, gdy się włamują w nieprzejrzaną gęstwę. Puste tam pojeżdżają siodła i luźne dzwonią strzemiona na grzbiecie zbestwionych rumelijskich ogierów.

Zwalił turczyn krótkim czekaniem w naczelnik Morsztynowego konia i krwawy odszczep łba wylupał.

Padł na piersi koń bojowy. Wyrwał Alexander Morsztyn nogi ze strzemion i, spieszony, w zbroi kwitnącej od krwi poszedł między sępie skrzydła, kity i czuby ich wodzów, między połyski jataganów. Rwią pióro jego szyszaka strzały niechybne, dzwoni w jego piersi dziurki rzucony, ale umyka przed nim miecz. Na groblach trupów, zwalonych w tem miejscu armatą

Łanosa

Szemberga, staje rycerz samotny, kurhan tam zakłada swój...

Raz wraz dookoła każdej szczypty rycerskiej zatacza się półksiężyc burnusów, usiłując róg swój z rogiem złączyć, a walczących zawrzeć w śmierci kolisku.

Polacy wyrąbują dziury w ciżbie, zrastającej się półksiężycą rogami, otwierają drogę odwodu i cofają się zwolna ku szancom, żeby nie utonąć w nawale.

Z armatniego dymu wynurzają się tam i sam sienieńczycy, Janusza Tyszkiewicza towarzystwo, Strusiów pokruszony odłam... Zginęli zarąbani od poturczeńców ludzi mężni: Wrzeszcz, Kowalkowski, Goślicki...

W chorągwi kanclerza, co całą wagę nieprzyjaciela na się wzięła i najwścieklejszy jego cios w swe piersi skierowała, strzemię w strzemię walczą dwaj przyjaciele, bracia stryjeczni, Żółkiewscy—Łukasz i Jan.

Strzały po nich skaczą chyże, od krat lica kryjących przyskają, od yorkskiej odskakują kolczugi. Kule wokoło głów nuca. Łukasz Żółkiewski osłania brata rannego. Mieczem ociekłym koło niedostępne przed nim pisze, młotem toruje drogę.

Rzecz wśród trudu Jan:

— Jeżeli tu skonam, — bracie, — zanieś ojcu ostatnie moje odetchnienie. Tarczą go osłoń i mieczem szlachetnym. Radą go w chwili złej podeprzyj, gdy stara jego głowa upadnie w trudzie.

Rzecz Łukasz:

— Jeżeli ja zginę, — bracie, — wody naczepnij w hełm i zawieź mu, gdyż za wojsko hetman czuwać musi, gdy wojsko pada.

Wbiją znowu ostrogi w boki końskie i skoczą

w janczarskie gęstwiny. Groty spis wokoło nich nachylone.

Straszne oczy spoglądają. Tysiąc ramion naciąga łuk. Świst strzał. Przez tłok wroga osaczeni wyrabują się samowtór.

Cofa się z nastaniem wieczora do połowy wyrabana kanclerska chorągiew, samego ze sobą unosząc z pola.

Czterykroć przebiegał Koniecpolski,—polny,—przed potłuczonymi kupami żołnierza, rząd w nim czyniąc i serce. Gdy własny jego zastęp schodził z placu skrzwawionego, stał polny w szeregu, dodawał ramienia i potężnemi ciosami nacisk odtrącał.

Napływ wciąż nowych szeregów prawy tabor ogarnął. Ze wszech stron ogarnięci, krzykiem gminu nieprzeliczonego ogłuszeni, w terrorze panicznym wypręgli ciurowie konie od armat. Jedni, póki pora, uciekali z placu, inni pod kolasy schowani, konali od razów dziryta. Wozy wgniecione na działa zatamowały porządek odwrotu.

Wycięta niemal do nogi Almady'ego piechota. On sam, strzelając się w osaczeniu, trzaskiem muszkietów otoczony, z ciężkimi ranami, we dwudziestu człowieka przedarł się do okopu. Uszły zaledwie trzy hakownice, dwa lekkie falkonety i wozów kilka. Rzucił się żołnierz turecki na kolasy z chciwością, rozumiejąc, że klejnoty w nich znajdzie. Lecz znalazł tylko koński gnój...

Pada słońce zachodu na połamane skrzydła, poszarpane zbroje, rude od krwi,—na pałasze w dłoniach pęknięte, — na wykrzywione od rozpaczki lica i oczy ślepe z wściekłości. Rzą i stękają z trwogi konie, gdy zbywszy jeźdźców, wbiegają w okop hetmański.

W zmiążdżonym do cna szyku, w hufiach posiekanych, w kłótwach, wzdychaniu, w jękach, groźbach, w obłąkanym śmiechu i złowrogim pomruku, — płynie ścierpła od męczeńskiego zachwyty hetmana twarz. Jakoby światło miesięczne, uniesienie na niej zastygło. Uśmiech zgubiony nie schodzi z warg. Żelazny spokój i mężna cierpliwość, zawarte w oczach daleko patrzących, zatapiają się nie w bieżącą, lecz w następną chwilę. Oczy zgasłe mierzą nie dokonany już nieszczęścia akt, lecz to, co jest w nieszczęściu najgorsze, drugi, jeszcze niewidoczny jego w mroku stopień śliski, jutrzejszego tajemnicę dnia...

Zaledwie zdławione szeregi white na się i pełne ran same sobie zaszczytem być przestały, w obozie się znalazły poza osłoną ziemnego wału, rozprysk się skalisty ich opór. Niesprawa padła w nie, jakgdyby tajna pokusa szatana.

Nowozaciężni i osiwiali świadkowie wypraw gdańskich, inflanckich, moskiewskich i wołoskich,—szlachta konna i pospolite piesze żołnierstwo wybrańców,—rodowici ziomkowie i cudzoziemscy żołdacy,—rozkazodawcy i ciurów zbiorowisko,—nadewszystko zaś lekka obozowa hałastra, pacholy, służba, podjezdki,—wszyscy,—dali się ogarnąć szaleństwu rozpaczy i trwodze. Jęk powszechny: — uciekać! — wionął w szepcie warg odrętwiałych, zapalił się w błyskaniu źrenic i pędził bezładne gromady z krańca w kraniec obozowiska. Ludzie nie poznawali twarzy najbardziej znajomych, brnęli to naprzód, to w tył z krzykiem szalonym i groźbą. Strudzona prawica oręż wyrywała co chwila i co prędzej podnosiła do ciosu, zanim człowiek obaczył, kogo porazi.

Przejeżdża przez obóz Kalinowski Walenty, skupia swe roty, ustawia, a w tłum głośnie, okrutne miota zniewagi na starą hetmana głowę.

Rzucił w ciżbę radę szeptaną Gracyan gospodar,

żeby przez mętny Prut zaraz uchodzić, a potem jemu tylko znanymi przesmyki, Bukowiną, Pokuckim kątem. Każde jego słowo skupia orszak. Rada tworzy rotę. Brną za nim w noc.

Pędzi na koniu kanclerz stary.

Zagroził drogę.

Zaklina, żeby obozu nie rzucać. Stał u wylotu obozowiska. Chwyta w ramiona gadających bezładnie, szeptem zapewnienia, — przysięga. Szablę wyrwał i zastawia drogę umykającym cichaczem. Skoro staną, oświadcza, że odprowadzi wsze wojsko do dniestrowego brzegu, na Mohylów, byleby sworność zachować. Obiecuje struchlałym natychmiast rozpocząć z wezyrem traktaty o zawieszenie napaści.

Wtem upadł w tłum z czyichś ust poszept inny: zamysłają hetmani wojsko wrogowi na rozsiekanie zostawić ze Skienderem paktować, w rzeczy tajemnie uciekać.

Głuchą pogłoskę między zatrzymanymi kupami poniosła w obóz rozpacz skostniała.

Zastawił hetman strażami wyjście obozu.

Lecz o ciemnej nocy uciekł z obozu Gracyan gospodar.

Uciekł z obozu Walenty Kalinowski, starosta, wprowadzając ze sobą tysiąc pięćset podjudzonego żołnierza.

Uciekł mężny Jan Odrzywolski z chorągwią.

Uciekł Stefan Chmielecki z chorągwią.

Uciekł w noc ciemną piorun na turki, Samuel xiążę Koreckie.

Uciekł Janusz Tyszkiewicz ze swoimi.

Uciekł Moskwy najezdnik i krwiożerca Mikołaj z Komarowa Struś halicki.

Jedni uszli zdrowo i wcwał dopadli domowego

proga. A inni zginęli w drodze niesławnej, napadnięci od ordy, zaczajonej na tamtym brzegu prutowym. Wyskakując z wody, nie mogli rozpoznać nieprzyjaciół, — szli tedy pod miecz, albo w łyka.

Pochwycił Prut, jak lewiatan, kamienieckiego starostę w swe kłęby, w skręty, w przeguby. Wyrwał go ze strzemion i poniósł w dół. Rzuca go nurt po jamach, poi wodą w głębi swej, przewraca, ostrogami stawia w górę, a nieskazitelny pióropuszem zaramiennych skrzydeł, co sławę żołnierzom szumiały, zamiata piach niskiego dna.

Jak zdechłą rybę, brzuchem ku niebu ciemnemu, wyrzuca Prut ze siebie trupa i huśta go na chichocie fali. Opił się Walenty Kalinowski rzeczno odmętu i popłynął, popłynął z rozkrzyżowanymi rękami, z rozdziawioną od krzyku gębą w daleką drogę, ku czarnemu Hellespontu morzu. W głębokich błotach limanu trupa swego zagrzebie. Zaryje w ił ostrogi rycerskie i wszczepi rękawice. Raki morskie wyklują mu oczy, wysą serce wodne żmije. Pancierz jego splamiony, niesławny hełm szlam napelni zgniły, a muł na wieki zalepi.

Skoczyli w nurty prutowe Korecki, Tyszkiewicz, Struś, lecz na tamten, skalisty brzeg jego nie mogąc wychynąć, wrócili. Ociekający wodą, z zakrytymi kratą przyłbic twarzami stanęli znowu w obozie, wrzaskowisku polskim.

A w obozie polskim już żołnierz namioty podpałał. Z latającym, jak płomień pochodni, pomrukiem motłoch rozdziela zasłony namiotów, które opuścili rotmistrze i pułkownicy. Oczyma szalejącymi z wściekłości bada wnętrze każdego namiotu. A skoro próżnię ujrzy, jakgdyby grób ujrzał otwarty, jakgdyby wywa-

loną trumnę. Ciżba wydaje krzyk złowrogi. Ogląda stanowiska wydeptane od Chmieleckiego koni, puste gródze po pół łokcia na koń, gdzie Odrzywolskiego bytowała chorągiew, maca płomieniem pochodni i gorejącymi oczyma ziemię strątaną śladami ku Prutowi, — i jako wilk wyje.

Czeladź w kupę strachem i żądzą, złączona, broń przez rannych porzuconą chwytając, obchodzi powtórę puste namioty i zabiera na własność, co znajdzie. A obszedłszy puste namioty, pocznie zaglądać do każdego z kolei. Gdzie leży ciężko ranny, cichaczem skróci mu bóle dla łatwiejszego rabunku. Namiot hetmana polnego, namiot Kazanowskiego Marcina, Farensbachów, Szemberga i innych, co krwią ociekając, bronią obozu bezsennie na szancach, — rozniesiono na strzępy. Szatwę wielkiego hetmana, który u obozowego odwodu drogę uciekającym zagradzał, zrabowano do nitki, że zostało jeno płótno zczerniałe od deszczu i ziemia goła. Skarbne wozy rozbito.

Chwyta sługa konie pańskie, samopas puszczone i w ciemną noc kalinowskim tropem umyka. Nareszcie pocznie zuchwałość zbijać z koni znużonych rycerzy, oręż z ręki osłabłej wyrywać, zdzierać zbroję i szaty.

Nieswora, swawola, gwałt buchną, jak pożar wśród tłuszczy. Tumult i wielki krzyk głuszą słowa.

Śmiech słyhać okrutny, pogroźkę straszną dla ucha, złowieszczą śpiew...

Daleko zawiewa z nocy pean starodawny broniących obozu na wałach.

Oto przez rabującą hałastę, która pali tabory i własne swe wozy naładowuje łupami, przedziera się

na koniu Jan Żółkiewski. Głowa jego odkryta. Włos skudłany. Czoło związane szmatą. Krew z twarzy ciecze.

Niesie dla starca wodę w szyszaku, której był ze strumienia ku Prutu dążącego zaczerpnął, żeby spalone ojcowskie wargi oświeżyć. Przez zagon tatarski wichrem leciał, brzuchem końskim ziemię zamiótł w pustkowiu, przez obóz polski upiorem przepędził, wypadając z grubej ciemności.

Szept się w rosnącym tłumie o jego widok zachaczy. Ruszą wszyscy na miejsce naczelne patrzeć, czy też i kanclerz już uszedł. Stoją w tłumie rotmistrze, namiestnicy, żołnierze. Zwartem kołem obkoczyli powtórnie ciemny, głuchy, odarty namiot hetmański.

Krzyk napastniczy, znieważający żąda:

— Sam tu, mości hetmanie!

W ciemnym, głuchym namiocie na ziemi hetman leżał omdlały. Syn przy nim jednak.

Zdyszani, strudzeni ramiony się na moment objęli. Głowami do się przypadli.

Strzały kończyste tatarskie wielokroć przebodły ciało synowskie w tej bitwie. W rany głębokie żeleźca twarz porały. Krew zastygła na licu i w twarde gruzły się zsiadła.

Nie od ciosu pierzastej strzały janczara jęknął tak głucho hetmański syn, lecz zatrząsł się wszystek od polskiej strzały nieomyślnej, co serce przeszła boleścią.

Zniewaga czcigodnej głowy ojcowskiej aż do śmierci go poraziła. Powiódł hetman drżącymi palcami po twarzy młodej. W ciemności przebolał dłońmi grube guzy i rany rozdarte, jeszcze krew mokrą sączące. Pocałunkiem miłosnym, pochwałą wodza je uczył.

Starą głowę znużoną na męża młodego czole z cichym wsparł szlochem.

Słysząc strzały janczarek tureckich, bijące w okop cecorski.

Słysząc krzyk przeraźliwy pędzących dokądś tatarów.

Słysząc wrzask wzrastający koła szaleńców za namiotem.

Kłapiąc w pochwy szablami, wołają:

— Pewnikiem uszedł...

— Uciekli inni, czemużby i hetman?

— Uszedł hetman!

— Zdrada hetmańska!

— Do Niestru go syn uprowadzi...

— Oto przez obóz na koniu starosta hrubieszowski przeleciał.

— Skinder-baszy na mięsne jatki nas sprzedał.

— Dla Boga! Ze wszech stron nieprzyjacieli!

— Odsieczy nie czekaj.

— Nagrody żadnej za męstwo!

— Za wierną służbę milej ojczyźnie śmierć czeka.

— Bez strawy my od godzin tylu...

— Wepchał złoto w kaletę i na koń ze synem samowtór.

— Powiadają: do Skindera list pisał...

— Do Skinder-baszy list woził synaczek!

— Bierzcie ostatek, — dla Boga! — panowie bracia z namiotów.

— Za trzy pacierze wróg te miejsca osiedzie.

— Ma-li to niewierny tureczyn odzierżyć?

— Ma-li dziki tatarzyn polskie skarby unosić?

— Do bronii!

— Uchodźmy drogą pokucką!

— Hańba wodzowi!

— Hańba hetmanom, opuszczającym rycerstwo!

Splywa ciche słowo Janowe w namiocie, na obraz krwi świeżej z rany:

— Okrutne jest plemię polskie! Jak wilk rozwścieczony, jak żmija wyhodowana na piersi, niewdzięczny jest ten świat. Żaden mu inny na ziemi w niewdzięczności nie sprostą.

— Kocha się,—synu,—człowiek nasz nadewszystko w widowisku strącenia wielkości z jej stolicy. Nie znosi człowiek nasz dla wielkości zachwyty. Lecz nie to, nie! Im okrutniejsze jest plemię, tem głębiej wrzynaj się w nie miłość twoja! Własne to nasze hetmańskie zadanie.

— Pogardź, ojcze, tą zgrają!

— Do podłego kruszczu pogardy lada dorobkiewicz i prędko dokopać się zdoła, lecz do złota wyborowego, którem za zniewagi my płacimy, jeno przez głębokie, twarde, skałą zamurowane wnętrzości ziemi ryć się trzeba. Głęboko leży polski skarb, o dobry synu! Bardzo to ciężki trud przez całe życie samemu, bez wężgłowia spać w dzikich polach, a słyszeć wciąż, jak głuchą ziemią leci nad głową z ojczyzny taki oto sąd, jak tej tłuszczy,—o wszystkim,—lub jeszcze gorszy od tego sądu oszustów śmiech...

Każe hetman synowi zapalić smolną pochodnię.

Ujmie sam skrzydło orłowe, w drzewce włócznie wprawione.

Wyjdą obadwaj przed namiot.

Stanąli wobec rycerstwa, wobec żołnierstwa i ciurów.

Samuel wiąże Koreckie wśród tłuszczy. Woła:

— Wielki hetmanie — oto tłuszcza zbestwiona!
Władzy żadnej! Splądrowane namioty... Roztargane
w obozie trupy rycerstwa...

Rzecz hetman:

— Ze mnie woda nie ciecze. Komu innemu się
skarż!

Krzyk rozjuszony dokoła:

— Z drogi się wrócił!

— Ułękł się Prutu wody spienionej.

— Ciepłej spać pod namiotem, niżli się w Prucie
pławić po nocy.

— Hańba tchórzowi!

— Za Kalinowskim, Za Chmieleckim, za Strusiem!

Znak hetmański syn podniósł z rozkazem milczenia.

Daremnie. Krzyk wzrasta:

— Ten to nas tu przywiódł.

— Tak samo z garścią w Ruś chodził!

— Tak samo nie wskurał nic.

— Niechaj na Ewangelią przysięga, że z obozu nie
ujdzie.

— Złóż wasza miłość przysięgę, że z obozu nie
ujdziesz tajemnie,—inaczej ust nie otwieraj!

— My krew za sprawę wylali, którzy tu stoim,
a hetman nasz zajęcym skokiemy pomyka.

— Gdzież prawo?

— Niechaj przed nami, mężnem rycerstwem przy-
sięga.

— Nie puścić!

— Otoczyć kołem!

— Ramiony zastawić!

— Wymówić posłuch!

— Nie słuchać bez przysięgi.

— Bez przysięgi nie słuchać!

— Nie słuchać!

— Nie słuchać!

Księgę znaleziono, podano.

Jęknął syn. Łamie ręce przed ojcem i błaga, żeby mu pozwolił nieskalany miecz wyrwać i rozsiekać zniewagę.

Płoną z trzaskiem pochodnie.

Zdjął hetman kołpak.

Powiódł dłonią po martwym licu. W tłum patrzy.

Twarzą w twarz stanął syn ojcu. Łka głucho.

Oczy jego płoną z rozpaczy, gdy szepce:

— Nie przeżyję tej hańby! Nie zniosę poniżenia. To imię Żółkiewskie nie tylko jest twoje, lecz jest moje. Na miecz się w oczach twych rzucę!

— Zejdź z drogi! Własną moją rzecz sprawuję. Muszę się schylić, muszę się zgiąć na wzór obręczy. Pokorą moją muszę opasać ich szaleństwo. Przypatrz się, co jest polskie szaleństwo! Rozpadną się i rozsypią, jak klepki, jeśli im się równy w podłości nie wydam. A gdy się tak zegnę i spoję w sobie, większy się stanę, niż oni wszyscy razem. Utrzymam, synu, w obręczy zachwyt ich dla siebie samych, czyli polską całość.

Syn u nóg na kolana runął.

W dłonie drgające od bólu księgę mu kładą.

W głuchem milczeniu słychać, jak serce łomoce.

Surowa twarz kanclerzowa od grozy skostniała.

Siwe włosy rozpacz zjeżyła. W oczach się iskrzy mróz śmierci.

Ściągnął rękę. Palce na księdze położył.

Uśmieszek cichej pokory kłamrą mu usta okował.

Mówi głośno, wyraźnie:

— Na tę księgę przysięgam przed wami, jakom nie zamyślał o ujęciu. Przysięgam, jako nie ujędę.

Wnet się rankor i niepomyślny animusz, — polskim obyczajem, — z gruntu odmieni i w łaskawość rozculi.

Krzyczą pocziwie:

— Niech żyje hetman!

— By nas i zabić miał na tym placu, jego się trzymaj kto żyw!

— Nasz hetman!

— Tryumf przecie odprawował...

— Cary przywiódł...

— Z nim nama żyć i umierać.

— Kołem go ciasnem opasali. Łzy w ich oczach.

Uśmiechy.

Wyciągają dłonie...

Tedy czapkę naciśnie. Pierze sprostował. Znak każe podnieść. Buławę, żelazo wojenne, w dłoń porwie.

Straszliwe z ust jego padają zniewagi. Z obuszkim się porwie na tłum.

Rozkaz grzmiący:

— Na wały! Tchórze nikczemne, łotry!.. Pod rozkaz hetmana polnego. Do broni! Kogo teraz na rabunku dopadnę — na pall

P o dziewięciu dniach walki upartej z wrogiem sto-kilkadziesiąt tysięcznym i każdogodzinnej rozprawy, namowy, układów z szaleństwem garści zamkniętej w obozie, o nieszpornej godzinie dnia wywiódł hetman cichaczem pięciotysięczne wojsko z Cecory.

Zamknął je w ciągu tych dni jakgdyby w fortali-cyi, w zamku ruchomym. Rozkazał ciasno, jedna przy drugiej zestawień kolasy wojenne w czworobok ze wszech stron zamknięty. Powtórzył zaś czworobok, coraz mniej-szy, siedemkroć. Dniem i nocą skuwali kowale osie kolas jednej z drugą grubemi na krzyż łańcuchy.

Głucho, pod okiem hetmańskim zaklepano łań-cuchy od pola na osiach. Od strony wewnętrznej zwią-zano kolasy wielokroć postronkami. W przód taboru wprawiono jedyne pozostałe działo. Boki i narożniki uzbrojono w śmigownice o kuli pięcio i ośmioletowej.

W drugim rzędzie szły wozy prochowce. Rannych, obozowe zawady i konie siodłane umieszczono we środku, skąd można się było wydostać na zewnątrz obozu jeno labiryntem sześciokrotnym uliczek.

W cieśniach, między jedną linią wozów a drugą, spieszeni postępowali żołnierze z muszkietami w rękę, wszyscy pod znaki właściwemi i w szyku.

Samuel wiąże Koreckie i Wolmar Farensbach dowodzili na przedzie, Marcin Kazanowski rozkazywał we środku taboru, Teofil Szemberg miał pod komendą odwodową lekką armatę. Dwaj hetmani sprawowali bezsensną władzę nad wszystkim.

Cały tabor mógł iść w bezwzględnej wozów ścisłości tylko razem. Jeżeli jeden wóz stawał, stawać musiał obóz wszystkich zamknięty.

Dziesiątki tysięcy wrogów obkoczyły ruchomy czworogran. Kiedy orda tatarska co pary w koniu nań pędzi, Farensbach i Szemberg, oparliszy muszkiet na wozach wstrzymanych, spokojnie mierząc i celnie, skryci za parapetem skórzanych pudeł wozowych, trupami zaścielają pole. Ciemną nocą jesienną brnął obóz przez Deli dolinę. Wśród bezmiernego trudu, zasypywany strzałami, mijał wbród błotniską jej rzeczkę. Kiedy skute wozy z osiami zarzynały się w mulach, a na głucho wprężone konie, zarabiając się po pachwiny, tonęły w bajorze, odcinał żołnierz utopione, wkładał się w szlę i, jak koń, ciągnął przy dyszlu. Ze wszego ducha pracując i ze wszystkich sił, wybrnął tabor z topieli.

O dwie mile wołoskie dalej przyszedł na Prutu wybrzeże. Rzucił się nieprzyjaciel wszystką potęgą, usiłując wozy rozerwać. Blisko do pierwszych wozów wśród bitwy przypadłszy, obuchami młotów kruszył łańcuchy, berdyszami ciął sznurów spoidła. Lecz jak te wozy łańcuchem, tak skuła żelazna wola starego hetmana siedemkroć posłuszeństwem i odwagą dusze. Uniesienie zaciekle czynem się stało zacieklým.

W krwawej bitwie strzelanej odbiegli janczarowie

wzniesienia, gdzie byli, i dział, które tam wciągnęli. Trupem ich pole zakwitło.

To było pierwsze miejsce wytchnienia taboru.

Następnego poranka, wciąż bitwę zwodząc wytrwała, brocząc krwią i rozlewając krew wroga, wstąpił obóz w rozległą Derle dolinę. Staw tam był szeroki, — nadzieja wytchnienia. Lecz z nowościągnionemi hufcami uderzył tam właśnie sułtan Kałgaj w ściany kolas. Działa ustawił za stawem, konnicę wokół rozciągnął. Z gwałtem bił z armat w obóz i rzucał wciąż nowe jezdne ataki. Wyszła piechota z obozu polskiego i uderzyła z szaleństwem w armatę sułtana. Pierzchły przed natarciem szeregi i dwa działa tureckie zostały zdobyte.

Przysłał Gałga pod obóz jeźdźca z chustą białą i z listem. Udawał w liście, że pragnie zawarcia pokoju. Żądał przysłania pośrednika, świadomego mowy tureckiej. Wiedział hetman, że idzie o zwłokę. Wysłał Krzysztofa Druźbica, lecz przewidując podejście, do boju lud swój usposobił.

W jedności niedoli, w zakonie posłuszeństwa stali jego ludzie bezsenni, zgłodniiali przemokli, cierpliwie czekając.

Wielkiego trudu obrazem kupili wodzowie niełacne dusze rycerskie. Z godziny na godzinę trud olbrzymiał, zwiększał się ciężar poświęcenia i przybawało ucisku.

Z godziny na godzinę rósł jedności cud.

Tu było drugie miejsce wytchnienia taboru.

Nie wrócił Druźbic z poselstwa. O świcie napadł Gałga na obóz i aż do południa szturmował.

Szarpiąc się w bitwie zacieklej, wywiódł hetman

z krętych swoich uliczek zastęp jazdy i rzucił go znie-
nacka. Wpadli w mnóstwo tatarskie, jak pocisk, wnet
zdobyli działo i dwie zielone chorągwie.

Po południu otoczony chmurami jezdnej tatar-
szczyzny odszedł krępy tabor w swoją drogę daleką.
Nie spoczął przez odwieczny, wieczór i noc całą. Wo-
koło miał pożary wsi, stodoł, żeby nigdzie pożywie-
nia nie znalazł. A kiedy świt zajaśniał ujrzeli ludzie
polscy przed sobą wzgórza wyniosłe, wojskami okryte.

Strzelbą wróg obsadził wyniosłość, pułkami pie-
szemi zagroził padoly. Janczarowie bili z rusznic
w odwód taboru, tatarzy nań z boków wpadali, działa
tłukły w ścianę przednią. Począł Szemberg bić w mo-
giłę wysoką ze śmigownic, siekańcami i śrutami nabi-
tych, zlał ją krwią i drogę oczyścić. Lecz gdy się na-
przód hetman pomknąć zamierzył, sam Iskiender we-
zyr szlak mu zaparł. Gęstemi z dział strzałami zamknął
nanowo drogi cieśnię ognistą, ze wszech stron skiero-
wał na obóz piesze kolumny janczarów. Na rozkaz wo-
dza polskiego ciurowie oręż przypasali, wdziali hełm
po zmarłych rycerzach, dosiedli rumaków. Niska służ-
ba pachółków uszykowała się w hufiec i nagle wyszła
z zawarcia. Szabla wsparła nieprzyjaciela daleko, rzu-
ciła się ku armacie, zdobyła chorągiew i zepchnęła
janczarów z wysokiej ich góry.

Poszedł hetman przed siebie przez padoly otwarte.

Dookoła taboru, ze wszech stron nieprzyjaciół
korona.

Ze strzał, z dymu i z ognia, z wrzasku śmierć
wieszczącego, — tej korony pałaki, zęby jej i promienie
świejące.

Wróg zakwitł w oczach Polski idącej, jakoby

chmur lotne zwały, z których pioruny strzelają i grom złała.

Skoro *katabasis* aż do śmierci strudzone w lasy wkroczy,—wróg lasy podpala, a wicher głównie w obóz miota. Skoro na pola wstąpi puste,—wróg wokół pali chaszcze, trzciny, kępy na łąkach, ścierniska, resztki zbóż, szopy na puszczy, sterty i stogi. Dym się gęsty wlece zwojami nad ziemią okrutną. Promień słońca przebić go nie może, wiatr go rozpędzić nie zdoła. Jeżeli wojsko zobaczy dalekich chat białe ściany,—wnet chaty płoną, a wielkie płomień miga się, rozdyma, trzepie, przysiąda, skacze w górę i rozdziera przestworze, ni to śmiech na świat cały z polskiej sławy. Wielkie tam cudnokształtne drzewa dymu kwitną spokojnie w niebiosach nad ludzkimi krzykami. Jeżeli popod dymem błysnie strumienia woda radosna, wnet w nią orda dziesiątki tysięcy wdępcy koni i w bagno strumień zamienia. Wszystkie mosty na drodze pochodu zerwane, a groble zniszczone. Zdradzieckie tam wyżłobiono kanały, wilcze doły poryto i niezgruntowane zapadnie. Wicher jesienny zewsząd niesie dym rudy, oczy nękający i duszę.

Pali ogień pragnienia. Głód do oczu zagląda.

Chroba w wozach skowyczy. Padają mieczem porażone konie. Lecz kiedy ogień wokoło tańczy na kresach widzialni i kiedy oddech zatłumiają dymy, niemasz drzewa na ogień i niema kiedy mięsa piec końskiego. W oczach z niespania widziadło się snuje.

Strudzony żołnierz, w szeregu maszerując, śpi.

Omdlały upada w bródzę i zostaje na wieczny sen pod zgrzytającymi kołami, gdyż tabor przez jego tułów przejeżdża w swą drogę do strasznego polskiego

celu, do niedosięglej ojczyzny. Ciała od ran i pracy niezmierzonej zniszczone krukom zostają na żer. Człowiek woli żelaznej i pięści potężnej zdobywa pierwszy wóz z brzegu, wali się weń i śpi twardo, a miejsce jego puste w szyku walecznym.

Cichy, pokorny bohater za wszystkich czuwa.

Krwawym idzie tropem bezsenny, spragniony, głodny, głodem-pragnieniem męstwo swoje, jak kosturem podpira,—z bronią gotową brnie przez bajora, w deszcz, w wicher, w dym, w tatarskie strzały.

Przez noc i ranek, wśród harców nieustających, wydzwignął się hetman z padolów i o mil wielkich trzynaście dalej opodal rzeki Reut przystanął.

Tu było trzecie miejsce wytechnienia taboru.

Ruszono stamtąd w pola płaskie, nieogarnięte oczyma, suche, w pustki żałosne. Powietrze nad polami od pożarów gorące, pełne lotnej perzyny. Kurzawy tatarskie wszędy stronami. Na niebie wieko dymu czarne. A trawa tych spiekłych pól na poły od szarańczy pożarta. Śmiertelny całun szarańczy, nieznośna dla oczu makata powlokła grunt. Kopyta koni i pęciny toną w szarawem robactwie. Koń schyla łeb, szukając trawy, i miasto trawy wargami chciwemi owad chwytą złowrogi. Prycha koń, parska z odrazą, skacze w miejscu i z trwogi w pustkę daleką rzy...

Zgniata ramiona coraz cięższy młyński kamień niedoli.

Wróg przeciął dostęp do rzeki. O wargach uschłych, o języku, jak drzazga, w bezludnej dziczy milczący człowiek brnie. Nozdrzami wciąga wiotką perzynę, którą wiatr lekki niesie.

Rozum się w tłumie mąci.

Tabor męczarni dokoła głów i przed oczyma, siedemkroć hańby skutą łańcuchem. Zgorzałe oczy szukają w polach pęgających ogniami jasnej wody kresowej.

— Dniestrze! Dniestrze! jasna wodo!—szepcą w pustyni wargi spalone.

Rzemień butów od tygodnia niezzutych w nogi się werznał i w spuchnięte golenie wrósł. Żelazo pancerzów i kolczug przeżarło skórę i do zapiekłych ran, do niemytych postrzałów przywiera. Kirys odparzony grzbiet orze. Szyszak się w czaszkę wgniata i spracowany uciska mózg.

Pióra złamane żorawie, pióra strusie i orle ponad szyszakami z chichotem dziwnym łopocą. Jakowyś przyspiewek śmiechu nad przyłbicami w stepowym leci wietrze.

Lica w ramach misiurek i hełmów z żelaza długie się stały, wychudłe, czarne i śmiech wzbudzające.

Tłuką się w szyku złamanym rycerze, idąc piechotą w milczeniu przed siebie. Konie niepopasane i niepojęne kwiczą.

Z potłuczoną bronią, zeschłych ran pieczęciami dostojne kroczy kwarcianego towarzystwa dwieście człowieka.

Zbitą, obszarpaną, wielobarwną gromadą w ściśłości wozów kołace się spieszony zastęp lisowski, napoły jataganem wygubion.

W twardem milczeniu ławą sunie Litwa.

Patrzy się w milczącą klęskę synów szlacheckich sępiemi oczyma kozacki setnik Chmielnicznko.

Pośrodku wojska orzeł mogilnik.

Sam na siodle.

Nasycony widokiem swych dni—w dumaniu jedzie.

Ciężko pod nim stęka koń i z głodu, wędziłto jeno żując, wzdycha. Boki jego od tygodnia nie rozsiodłane w oparzeliskach, zapadły, jak u zgłodniałej wilczy. A pod popręgiem krwawa piana.

Och, koniu...

Koniu hetmański!

Nosiłeś, niedościgły biegunie, pańską sławę po ziemi wolnej i po ziemi cudzej. Chodziłeś pod kapy złotolitemi w tryumfie, a *sub clypeo* i pod buławą w pośrodek bitwy. Wolnym szlachcicom ze wszech ziem jak długie i jak szerokie na placu starożytnych swobód ojczystych ukazywałeś pana jasną postać, niosąc ją ku miejscu przenajwyższemu.

Któż spamięta, ilekroć z sejmu za trzeciemi wiciami w złote twe strzemię nogę kładł?

Niewielu żywych pamięta, ilekroć szedł od miedz domowych przeciw obcemu gwałtowi kord przypasywać, wdziewać przyłbicę i bić się po nocy w polach, by spała pod wyciągniętem ramieniem Rzecz-pospolita, jako dziecię w kołysce.

Och, koniu!

Czyli zaniesiesz o strzaskanym puklerzu do ojczystego proga powieść wyniosłą? Czyli na twoje, — koniu, — rzenie ocknie się tygrysi gniew, wzmoże do walki serce lwie? Czyli plemienny krzyk rozedrze upartą ciszę nad gnuśnemi miastami, nad zamki, groźną zwadę knującemi samowtór, i nad dworzyszczem, pełnem twardej pijatyki?..

Idąc wciąż przez spiekle od gorąca pola szarańczy całą noc i połowę dnia, dosięgło *katabasis* rzeki Kobelty.

Minął ją hetman i brzegiem ciągnął dalej mil trzy.

Na drugim brzegu wszystka bisurmańska potęga biła weń z dział, janczarek i łuków. Za sobą miał wilki tatarskie. Odbili nacisk niejedni lisowczycy, walczyła do upadłego piechota niemiecka. Kiedy wszystkim nacierali mnóstwem tatarzy, strzelał w nich Szemberg ostatkiem nabojów i wielkie w nawale wybijał ulice.

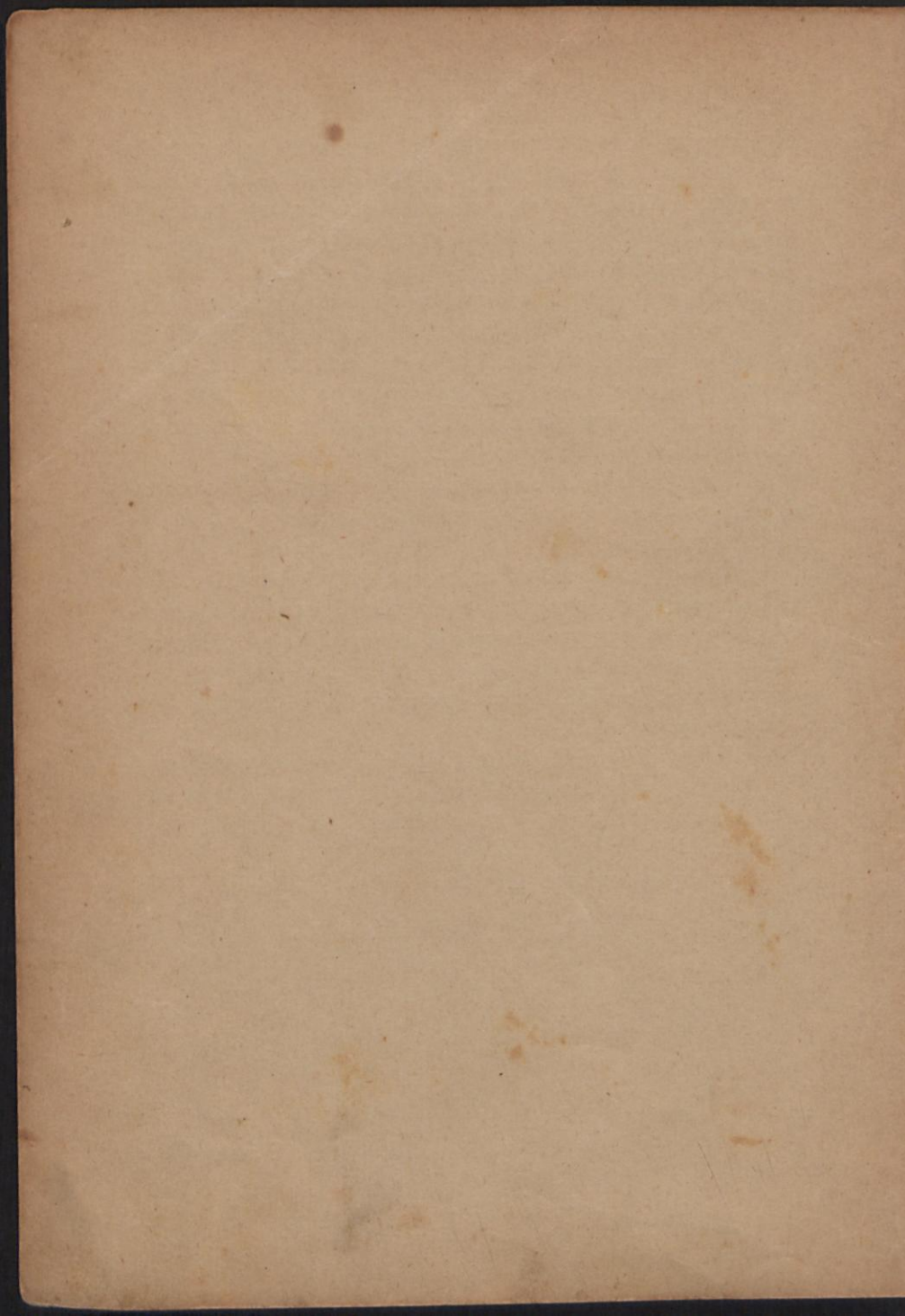
Po ośmiu dniach pochodu, niespania, pragnienia, bez strawy—omdlał lud. Strapieni głodem szaleli. Krzykiem lżyli hetmanów. Wody pragnący nie chcieli iść i na ziemię z rozpaczą padali. Wyszedł już proch i kule. Konie klękały strudzone...

Napotkaną wieś Serwirnię zapalił wróg. A o czterdzieści staj, o dwie mile wołoskie świeciły już Dniestru jasne wody.

Nie dał żołnierstwu hetman chwili spoczynku. Naglił do marszu. Coprędzej chciał Dniestru łągów, rokin i stogów dosięgnąć, tam się okopać, dostać widnych zdala stogów siana dla koni, wysłać komunika do Mohilowa po żywność, czekać posiłków i stoczyć śmiertelny, ostatni bój.

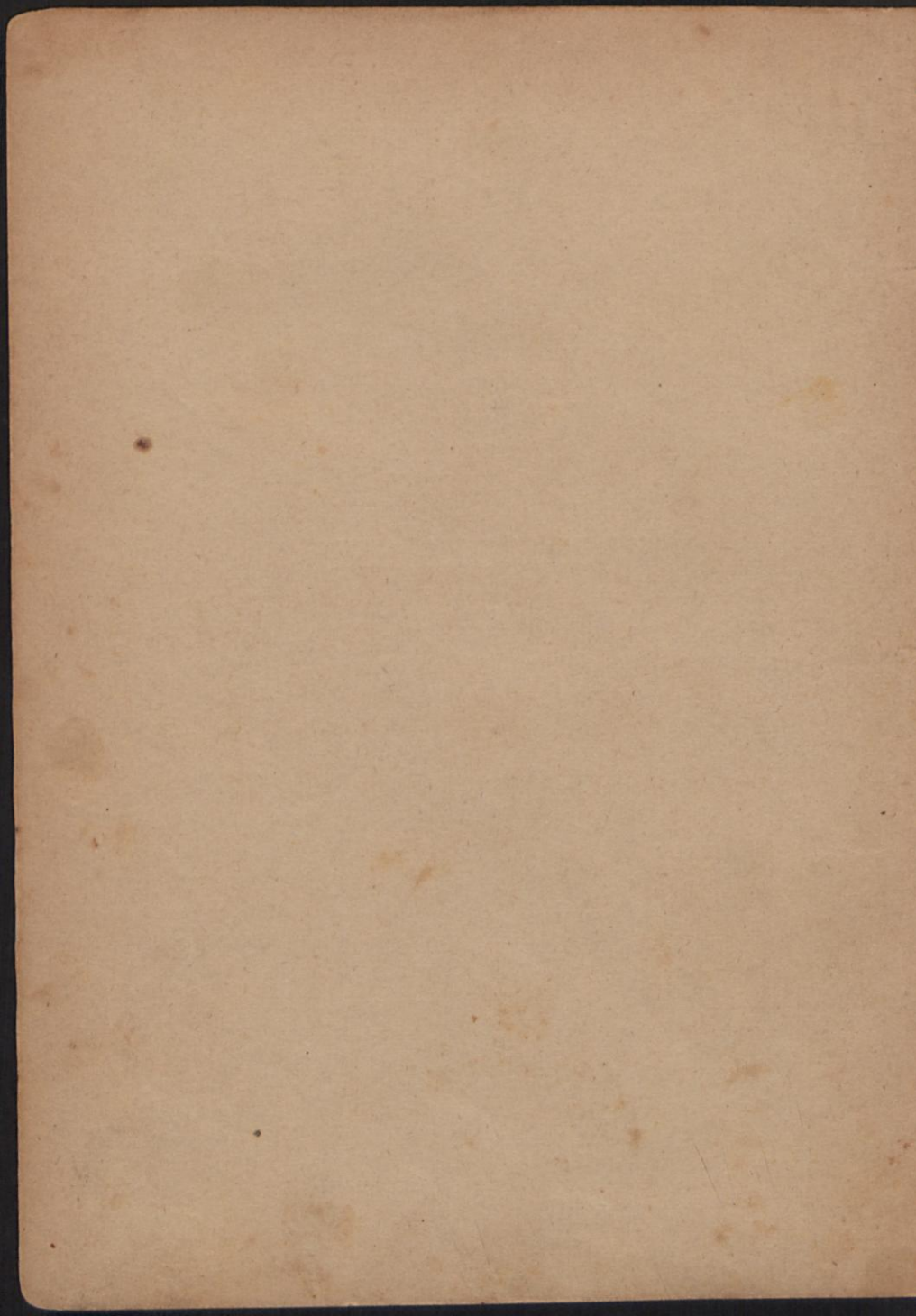
Ujrawszy zdala wody Dniestrowe, powściągnął się nieprzyjaciół, zawahał, cofnął. Tatarskie gromady zdaleka krążyły. Stanął tabor bezsilny. Nie chciał, gdyż nie mógł iść.

Tu było czwarte miejsce jego wytchnienia.



WIDZIADŁA SNU

Duma o hetmanie. 4.



Skoro tabor przystanął i, wbrew buławie, nie chciał dalej podążać, rozbiły ręce synowskie i ręce krewniaków namiot dla wodza.

Odpięli z ramion rycerze skóry lamparcie, niedźwiedzie i tygrysie. Rzucili je na ziemię i z nich łoża wodzowi usłali.

Siodło pod głowę złożyli.

Odeszli.

Już od dziesiątka dni bezsenna, spracowana głowa na wezgłowie upadła. Lecząc do spoczynku daleko. Serce w piersiach szamotać się jęło, jakby nowy,—trzeci,—wewnętrzny wróg: to biedz w szalonym polocie, to nad jakąś bezdenną otchłanią stawać i w zgrozie zacichać. Przygasła siła widzenia.

Niesen bardzo dziwny, na pół zapomniał, jak gdyby wieniec z tarniny okrążył kolcami spracowane czoło. Podła i mściwa siła rozpaczy na piersiach usiadła.

Chmurami kędyś w nocy pędzą dokoła taboru zgraje nieprzyjaciół,—męczeńska Polski korona.

Chmurami mkną purpurowemi, — nachyla się i w ciemność odleca, — wiotkie sny.

Zdało się w jakowejś chwili, że od dzikiego w nocy zawycia pędzących tatarów wolno i lekko wydęła się falisto i zawahała, a później w górę podniosła za-

słona namiotu, — w tem miejscu, przez które wyszedł był syn. Ktoś w przejściu stanął ciemnem.

Blask od pochodni w obozie płonącej padł na ramiona widziadła.

Młodzieniec na poły nagi...

Ciało jego ciemne, wysmukłe, ściągłe. Twarz sucha. Na piersiach, na żebrach i na biodrach jego lekka kolczuga, niby koszula z jedwabiu. Nie zakrywa mu szyi, ramion i rąk, a ledwie osłania brzuch. Nagie wysmukłe nogi tylko na goleniach pokryte są brązowymi plechy, które w pół łydki obramia rzeźbiona w metalu korona. Niezasłoniętą głowę owiewa długi włos kędzierzawy.

Po barwie skóry, po oczach i kształcie lic znać, że z puszczy wschodniej przybył. Na biodrach jego pas, rzeźbiony w kwiat róży dzikiej. Muskuly rąk i nóg jeszcze się prężą od zwinnych w biegu skoków. Żyły prawicy, chudej, jak u dziewczyny, niby sznur tęgi biegną ku dłoni i zdają się oplatać krótki miecz, co w uściśnieniu palców nierozzerwalnem kurzy się jeszcze od krwi dopiero przelanej.

Krótki to miecz, nie dłuższy nad italską dagę.

Lewa ręka w bok wsparta.

A żebra tego boku, widoczne wskroś przeguby kolczugi, dyszą z gwałtem. Twarz niewymownego uroku w uśmiechnieniu zastygła.

Szczęście zwycięstwa, uniesienie, co już wyżej podlecieć nie zdoła i na wysokościach stoi w zawstydzeniu, widać na ustach, jak u dziecka niewinnych,—choć przez nie leciał przed chwilą krzyk sępa, upatrzona zadająca śmierć. Nieustraszona myśl strzelała, przyszywając, z tych oczu. Namiętna czułość drży w ciele, kipiącem od ukropu krwi. Zdało się, że młodzian ten

jeszcze słucha krzyku tłumów, które w nim swego pozdrawiają ducha, żądę swej cnoty, zwyciężcę, — wzywają go na siodło wodza, — a on uśmiecha się nie do krzyku tego, lecz do krótkich westchnień, bojaźni pełnych, co się jeszcze nie spaliły do cna w głębokiej duszy przed walką.

Tam nieruchomo stojąc u kotary płóciennej namiotu, zawołał zdala:

— Hetmanie! Hetmanie!

Jęknął hetman:

— Gończe, — ktośkolwiek jest, — coś przynosisz?

— Echo szczęśliwe.

— Nie masz dla mnie szczęśliwej wieści w okręgu ziemi.

— Podnieś się, serce hetmańskie!

— O wieczna walko! o walko! o walko! O wieczne czuwanie!

— Rozewrzyjcie się oczy na światło.

— Cóżbym jeszcze mógł ujrzeć?

— Spójrzij!

— Czy nie zginął mój syn?

— Przypomnij, to przypomnij!

Strumień po ostrych, po rumianych i siwych pluszczach kamykach. Sepłeniąc między korzeniami, w dół leci z tęgozoru, z pachnącej smołami góry.

Słońce w przezroczystym nurcie migota. Kąpie się w zimnej wodzie i bryzgi złotolite otrząsa.

Muszki polotne, miody łądyg wysysając, bawią się na liściach żółto zakwitającej krzewiny. Przecinają skrzydłami wiatru jasność i chłód, — wiatru, co wzdyma się, przelata i zacicha, — dzwonią skrzydłami o słońca struny nawiązane.

Wonna poziomka czerwieni się pod liśćmi ostro strzyżonemi, na wysmukłej ciężąc odnóżce. Zgina się badyl różowej centuryi pod ciężarem tchórzliwego trzmiela, co kosmate swe ciało w gorąco-wonną, w gorzką smołę zatapia. Złotem, lazurem i barwą zorzy wschodzącej pisane skrzydła motyla, to się łączą ze sobą, jakgdyby w lęku o kruchość tajni nadobnego pisma, to się rozwierają bezczelnie przed słońcem, ni to obłąkana młodości żądza niebezpieczeństw. Skinienia tych skrzydeł odmykają i zawierają głębokie drzwi władzy dumania, dumania pierwotnego, własnego, które zamknięte jest wewnątrz i nisko, w kole ścisłym, w kręgu niedostępnym, zdala od jakichkolwiek, w okrutnych walkach zdobytych trofeów ludzkiej mądrości.

Lilia leśna, złotogłów, stoi wysoko na brzegu, ponad czystym strumieniem. Stopki jej cebulaste ziębną w chłodzie urwiska, korzeń szczerozłotem odziany pije z głębin mocny trunek żywota. Kwiaty nad żywą wodą zwieszone jej jednej, wodzie żywej, dają oglądać wewnętrzne sromy szkarłatem wysłanych kielichów. Głęboko, jasno i długo, jakgdyby nienasycone własnej piękności doskonałym czynem, jakgdyby usiłując same siebie drugi raz utworzyć, kształt swój powtarzają i kolor.

Gdy stopy brodzą po korzeniach lilii, kosaćców, a pięta lgnie w wilgotnych kępach niezapominajek, gdy oczy toną w falach powabnych, w pręgach i liniach kielichów, a czarowne skrzydła motyle po powietrzu je noszą, w pośród niebieskich obłoków kołysa się myśl:

— Któż jest człowiek?

Jakie jest jego miejsce wśród suszy i wody, wśród zwierząt, motylów i kwiatów?

Jakiż być powinien czyn jego?

Czyli człowiek powinien w ciszy ducha bytować i w niezawodnem szczęściu pokory na obraz baranka w dolinie,—na obraz lilii cnotliwej, co ziemski sok pije,—czyli powinien, jak ona otwierać kielich posłuszny swej duszy ku słońcu, a zamykać uwiedły i upuszczać go w nicość, gdy nadejdzie przeznaczona pora?

Czyli ma człowiek otworzyć tajną serca ciemnię, gdzie wieczny niezgasłego pragnienia jęk czuwa,—czyli ma wyzwolić zaczajoną żądzę swej istoty, żeby wychyliła po władzę nad światem?

Czyli ma człowiek w cichości pożywać owoc ziemi rodzącej i wielbić ją sercem niewinnem?

Czyli ma uciskiem dłoni żelaznych ugniatać ze wszystkiego kształt nowy na obraz tajemniczej chimery myśli swej,—a wolę niewyciężoną, swoją własną, tworzącą w krwawem cierpieniu i wśród krzyków boju weń tchnąć?

Dajcie odpowiedź, o wielobarwne skrzydła motyle, co się, jak dłonie kapłańskie, za nas rozwieracie i składacie nabożnie przed słonecznym promieniem!

Dajcie odpowiedź, kwiaty, które barwy czerpicie z łona chmurek porannych, a z nędznych w gnoju korzeni ziemskich wydzieracie się ku śniadym i rumianym obłokom, a nad obłoki górujecie czarodziejstwem zapachu!

Daj odpowiedź, ty wodo, wydająca przez wieki wieków dźwięk swój, zawsze jednako tajemny...

Dajcie odpowiedź, wędrowne chmury niebieskie, które co dnia oglądacie wszystko z wysoka, co jest na lądzie i na morzu...

W czystym lazurze szybuje ptak drapieżny i zło-

wrogi swój cień wlecze po kwiatach, po ziołach wypijających wodę z brzegów ruczaju. I trwoży się przed nadciągnięciem ptasiego cienia czerwony, żółty i błękitny kwiat. Już serce rozerwie błogoziszczony sen, koło zamknięte, gdzie się w ciszy ducha kołysało, jakoby zielony pęd latorośli w rozgrzanym wiosny powiewie. Na dnie jego drgnął jęk.

Nieulękła, drapieżna myśl, jakgdyby jastrząb ciemnopióry w niebo szybuje.

Procę masz w dłoni, tajstrę na nagim ramieniu, a w niej płaskich krzemieni pięć, któreś w strumyku pożądliwą dłonią wynalazł. Nasadzisz w procę kamień gładki, okręcisz ją potężnem ramieniem dookoła głowy i puścisz procy koniec jeden.

Kogo ugodzi śmiertelny twój cios?

W kogo mierzysz procarzu młody?

Milczenie — twoja odpowiedź.

W duszy twej rozlega się psalm ziemi kwitnącej, pracy swobodnej, siły niezłomnej, miłości wiecznej.

W psalmie twym, — ofierze całodusznej wszystkiego uczuwania, — dźwięk się przytula do dźwięku, rym się przymierza do rymu, niby jedno do drugiego skrzydło motyla, niby lilia-złotogłów do swego w strumieniu odbicia, niby pochylenie do pochylenia pędu latorośli. Słabość tam wstępuje pod żyłaste barki mocy i przymierze z nimi zawiera, barki mocy rozciągają się od zachodu na wschód. Siła przeistacza się w radość, a z radości jakoby kwiat z korzenia, wystrzela miłowanie.

O, miłowanie młodzieńczej duszy!

Nie popuści złemu ani pędzi świata tego, który w serce się wcielił i w psalmie świętym zamieszkał!

Wychodź, ktokolwiek mąć zamierzasz psalm ducha.

Ty, co zamącasz psalm ducha, — zamącasz święty świata porządek.

Wychodź, nieprzyjacielu!

Gotowy jest duch na tve spotkanie, na potrzebę z tobą i na odparcie twojej mocy.

W głębi psalmu, jakoby z pochwy, wyblsnał miecz.

To pierworodny gniew za złe.

Zwodzą się brwi, jak mściwego łuku cięciwa i bolesna strzała samotnej myśli drży, czekając na ciosu upuszczenie.

W imię pańskie wychodzi procarz samotny.

W imię pańskie nasadził płaski krzemień w gązwę procy rzemienną. Wiara niechybna złączyła sznury oba w dłoni, zawarła palce, milczeniem okuła usta.

Cokolwiek bitwa przyniesie, — zwycięstwo, czyli zgon, — siła, radość i miłowanie, jak płuca, w duchu dyszą.

Patrz, hetmanie!

(Dłonią co na biodrze była wsparta, młodzieniec uniósł wysoko i daleko zarzucił zasłonę).

Spojrzy hetman...

Olbrzymia widzialnia...

Po prawej ręce zręby i wyrwy, schody i korytáře, sklezione łuki i szczeliny tajne, wyniosłości i zwaliska na palatyńskiej górze. Ujęte w zwoje cyprysów i dębów wieczyście zielonych, uwieńczone laurem i bukszpanem uśmiechają się z gajów kamelii, — jak gdyby czaszka, opleciona wieńcem weselných róż.

W słońcu tam leży sen o geniuszu, o gwałcie żądź, o potędze miecza i o bezdennej nędzy człowieka.

Gniazdo orłowe, gdzie wśród nocnej rozpusty leży się zamysły podboju wolnych narodów, — kunszt stwarzania niewolników, — gdzie młodym orłom lotki rosły i wydłużały się pióra do śmigania po okręgu ziemi, zataczając kształt pętlicy postronka nad pasterczami i łowcami niewiadomego języka i obyczaju, — gdzie się hodowała tajemniczo-mądra umiejętność narzucania dybów i duszenia w nich plemion w zgodzie z ich wolną wolą, — nauka morderstw, pogwałceń umowy, burzenia miast, niweczenia prastarych kultur, zadeptrywania odwiecznych cywilizacji, krycia ich pod piaskami pustyni, — i sztukmistrzostwo budowania świątyń świata wieczyście nowych, niezniszczalnych sal rady, cudnych termów, domów ludu, radosnych cyrków, jak sama myśl o sławie pięknych łuków tryumfu, — w jednym na ziemi ukochanem mieście...

Szeleszcze niewymownie stopa, sunąc po płaskich kamieniach — i po marzeniu tylu pokoleń, co się tuli w złomach ruiny.

Żałobnie rozlega się krok w przejściu Septimusa Severowem. Oblata echo trzy kolumny świątyni Jowisza miotającego pioruny... Budzi się tęskny czar, uspio-ny między zadumanemi Castora i Polluxa słupami i pada znów w zakłętę milczenie u stóp samotnej kolumny Phocasa, w której przez wieki trwa koryncki kształt...

Ze wzruszeniem rozgarnia dłoń rdesty, porastające osypiska u źródelka świątyni Vesty i tajne pokoje słu-żebnic bogini...

Zcicha, nabożnie przyczajona stopa mija Tytusa Wespazjanowego łuk. Coś swego składają wargi, gdy oko się wałęsa po rytych w marmurze kronikach

tryumfu, po rzeźbionych dziejach zburzenia świątyni, wydarcia z niej wieloramiennego świecznika, świętych ksiąg i złotego stołu, — po koniach, ciągnących wóz chwały, po figurach milczących liktorów, po postaci bogini zwycięstwa, wieniec wkładającej na skronie tryumfatora po symbolach potęgi i dumy, — z których deszcz wypłakał sławę i które wyśmiały, wyświstały wiatr, lecący przez wieczność czasu.

O, wietrze, przenoszący tem wejściem na pole ruin stulecia za stuleciami! Potęgo, która tyranii i bezprawiu pomnik zbudowałaś, nie przeczuwając, że budujesz niezniszczalny sylogizm, doskonałego piękna i wymowy pełen, o nicości człowieczej tyranii i o omylności bezprawia!

Dumanie w łuku Tytusa, — któż cię wysłowi?

Po lewej ręce chram Konstantyna, którego sklepienia, zamknięte w kasetonów urok, szatańska zuchwałość artysty w drzazgi targała, ażeby osiąść tajemnicę przedwiecznej budowy i nowe, niewidziane na ziemi sklepienie rzucić pod niebo...

Znowu po płaskich kamieniach dźwięczy pożądlivy krok.

(Murawa wiosenna płonie od rumieńca konieczyn.)
Indyjski mirt, bukszpan ościsty i szare drzeweczko oliwne na zrębach czerwonych pokruszonej teguli...

Circus Flavius!

Olbrzymie jamy okien, przez które widać obłoki w dal żeglujące... Wokoło murów postręcane równościennie pilastry i szczytne kapitele. Głazy te zbuntowały się przeciwko geniuszowi, marzeniu i sile człowieka, omyliły jego czujność i, niby chytre zwierzęta, przemocą, wbrew ich naturze wytresowane, lecą ku

ziemi z podniebieskich stanowisk, z podobłocznych czatownic, żeby się w dawne, naturze swej właściwe, rozpadać kształty, kryć pod murawę, od koniczyn rumianą, pod wszędzie dopielzający chwast zapomnienia, wrastać znowu w błoto i zgrzytać szyderstwem z dawnej swojej postaci pod nogami przechodzącego barbarzyńcy.

Ponachylały się tam i sam korynckie kolumny.

Pożarł czas jońskie głowice drugiego rzędu.

Wrosły w mur głuchy złupione przez najezdnicze zgraje żołdatów słupy doryckie pierwszego piętra.

Wnętrze!

Potwornej wielkości głazy, wyważone z gór i wśród razów biał, potu i łez, bez tchu przywleczone pylmami drogami na bidze skrzypiącej, — skrzesane w ukos i wszczepione między głazy w ukos rozwarte, siłą swą własną tworzą niewzruszone sklepień zwornice. Gdziekolwiek wysoko pękła arkada, tworzy się podobizna szczelin w albańskich skałach. Wiatr tam kołysze drzewko mirtowe, przelatując wskroś wyłomów i szpar, wijąc po galerjach porośłych szalejem, po lochowiskach, sklepionych kanałach w głębokiej ziemi, — po świętych, czarnych schodach w rozpacz jaskiń przedzgonną wiodących.

Głowa przychodnia dźwiga się, wnosi i porywa ku widzeniu pospolitości tego, czym jest śmierć.

Oczy się natężają do rozpatrzenia jej bez trwogi, bez nienawiści, bez pohopnej żądzy, bez jakiegokolwiek podniety, bez wzruszenia.

Aż oto nagły łoskot po wszystkich rozłogach duszy, w przepaściach jej i na szczytach, jakgdyby wrzask trąby wojennej w nocnem milczeniu.

Zstępuje z górnych galeryi po olbrzymich, kamiennych skrzyżalach widmo młodzieńca w cienkiej kolczudze. Nagie, wysmukłe jego nogi tylko na gole- niach pokryte są brązowymi plechy, które w pół łydki obramia rzeźbiona w metalu koronka. W ręku jego krótki miecz, nie dłuższy nad Italską dagę.

Nie zechciał być widzem.

Chce być Aktorem.

Idzie Zwiastun, Zwycięzca, Waleczny, Dawid.

Na ustach jego uśmiech radosny.

Burza włosów na skroni, jak powiewny proporzec od wielkich kroków, — gdy zmierza w dół.

Na odłós jego kroków — w podziemiach, w lochach w grobowiskach rozpaczy, w pieczarach Colosseum — krzyk — jeden — drugi trzeci!

Wielka rota ludzkości woła weń — Wodza.

Wielka rota ludzkości czekała w ciemnym lochu stuleci tyle. Wielka rota ludzkości czyhała bezsennie na moment swój, żeby nareszcie wyrwać z pochwy miecz, gdy da skinienie wódz.

Wielka kohorta bohaterów, męczenników, proroków, wieszczów i mędrców...

Wyjdzie nareszcie na arenę wielka kohorta w pan- cerzach z płomienia po schodach świętych.

Trębacz naczelny zadmie w hejnał przedjutrzniany na wschód, na zachód, na północ i południe.

I rodzaj ludzki ocknie się o samym poranku...

Lecz oto, kiedy Dawid na arenie stopę postawił, z ciemnego otworu wysunie się nie proporzec wielkiej kohorty ludzkości, lecz stadem chyżem wybiegną lam- party żółtawe.

Idą nań po jasnym piasku cichemi, miękkimi

kroki. Przysiadły na ziemi świętej i wlepiają jaskinie ślepiów w srebrną koleczugę młodzieńca. Młodzieniec przelotnie wejrzał na lampartów stado. Szedł ku nim w światłości uniesienia, ścisnąwszy mocniej w prawicy miecz, — z oczyma utkwionemi w obłoczku białoróżowym. Gdyż właśnie chmurka wszystkowidząca żeglowała po niebie z nad tej areny w stronę samotnej, srebrnej w lazurach góry Soracte, — ku puszczołom morza, gdzie, biała, złośliwa wełna błyska w ciemnej toni, jak zęby śnieżne w złowieszczu śmiejących się ustach, ku rumianym drzewkom gorzkiego migdału, co zakwitły na skałach czarnych, dalekich wysp w spienionem morzu...

Ustał znienacka i w niwecz się rozwiął sen o młodzińcu. Przebudził się hetman. Westchnął za snem.

A nim westchnienie w słowie zgorzało, zawrą się na głucho powieki. Nowe widzenie dokąd chce niesie duszę. Przedziwna roztacza się zmiana.

Dawne, minione, zapomniane przeżycie...

Patrzą w nie oczy z czułością...

Rynek krakowski...

Maryackie wieże, Zborowskich szare gniazdo, dom Montelupich, dom Bonerów i książęcy, dom pod barany i Bernata Maciejowskiego spiski pałac...

Wszystkie w rynku okna i ganki pełne głów. Urocze twarze dziewczęce i niewieście,—lilie i róże,—we framugach i wnękach. Po dachach kamienic, po murowanych attykach, w zazębieniach gotyckich, na kominach, na wieżach — żaki, paupry, czeladź.

Zwisają ze wszystkich okien po surowych ciosach murów, po skarpach i narożnikach, po obramieniach okien i wygarach drzwi wielkie adziamskie kobierce, cudne wielobarwne deki, haftowane kilimy, lity złoto-głów, gruby, wzorzysty adamaszek, szkarłatne, złotem upstrzone, w bitwach zdobyte dywdyki, jedwabna kamcha turecka i ruska parcza rubinowa.

A w Szpiglerowskiej kamienicy na krużganku Jego

Mość sam Stefan król z królową Anną zasiądzie. Jedwabna, złotolita lama z orłem po niej cudnie dzianym z okna tam patrycyuszowskiego Bethmanów aż do samej ziemi zwisa.

W drugim oknie nowożeniec, Jan Zamoyski, z Gryzeldą cudnej urody, królewską synowicą.

Jeszcze raz, jeszcze raz ogląda hetman łzami oczu strzały wież, mury ratusza i sukiennic, rojne, zgiełkliwe ulice... Słyszy jeszcze bicie dzwonów, dźwięk radosny porywającej muzyki i gwar wesół szelestnej, szumnej, bogatej ojczystej mowy...

Złotym piaskiem wiślanym grubo wysypany rynek od domu pod barany po Szpiglerowską Bethmanów kamienicę. Plac przed królewskim siedziskiem ogrodą mocną, parkanem ostrokołu otoczony.

Tuż za szrankami stanęli murem potrójnym rycerze z pod Gdańska, z pod Wielkich Łuk, z pod Pskowa i niezłomnego Połocka. Błyskają na słońcu czerwonym tarcze i dziiryty. Stu ciężkich kopijników siedzi na koniach, okutych w stal. Na ramieniu ich długie rusznice. U boku przykrótsze miecze. A buzdygan nad nimi trzyma Stanisław grabia z Górki.

Po drugiej stronie szranków piechota w pancerzach z siekierami do ciskania ławami, z dziirytem i pałaszem. Pod oknem króla jego piesza gwardya w fioletowym ubraniu z hajduków, węgrów i czerkasów zebrana. Rusznice ich długie, zakrzywione szable, w ręku czekany.

W dali huk strzałów i w kotły bicie.

Przygasa gwar, — przygasa.

Samotny odgłos trąby.

Cisza.

Król w oknie.

Postać jego zwężła, urodziwa, czerstwa. Widać w nim wielką siłę i zdrowie. Twarz przystojna, rycerska, pociągła, rumiano-czarna. Krucze włosy krótko strzyżone okalają te lica żywe. Nos zakrzywiony, z jakim zazwyczaj Attyllę malują,—usta nieuśmiechnięte,—oczy surowe i zimne.

Ledwie król siadł, otworzą się szerokie szranków wrota i środkiem ulicy, przez heroldów wśród tłumu wyżłobionej, jadą na koło rycerze. Przed nimi biegnie orszak mnogi pieszych dworzan i giermków.

Dudarze karpaccy na kobzach grają.

Przed magnatami w szranki jadącymi niosą trefnisie i karły pułkownikowskie, rotmistrzowskie i porucznikowskie buzdygany ze stali demeszkowanej, na wielkołučkih i toropieckich polach żelaznemi prawicami wypiasłowane.

Sędziowie turnieju miejsca zajęli.

Surmaczów zagrzmiały trąby.

Wyjeżdżają na jasne koło zapaśnicy, do kolan okryci stają, w hełmach zawartych i w opuszczonych kratkach. Konie ich dywdykami powlóczą, siodła sadzone kamieniem, srebrem nabijane i złotem. Na każdym rycerzu starożytne, przednie i zadnie polerowane plechy pancerzów, szorce, karwasze, nagolenice i nakołanki. Wielobarwne strusie pióra wieją na szczycie szyszaków i na łbach koni, stają naczelników okrytych.

Każdy z rycerzy pod pachą ma drzewo, u boku miecz i tasak, czyli kord.

Zwolna we dwu krańcach placu staje naprzeciwko siebie czternastu wojenników.

Widzi ich znowu hetman...

Podorecki Bylina, Andrzej Grudziecki, Paweł Junosza Piaskowski, Krzysztof Tarnawa Broniowski, Mikołaj Rogoziński z domu Habdanków, Bronisław Nałęcz Orchowski, Jan Dobek Gryf...

We dwa hufce się dzielą.

Każdy ma chorągiew hetmańską z nowożeńca cyfrą.

Na jednej widnieje napis: „*Cernit et audel*”.

Na drugiej: „*Utraque civis*”.

Zsiadłszy z koni, współzawodnicy przepraszają się społem, — jeśliby który za przypadkiem obrażon był i zabit, żeby zabójcy odpuścił...

Skłonili się wzajem.

Wstąpili w strzemię.

Dosiedli rumaków.

Kopije wraz, jak jeden, przycisnęli ramiony do żeber.

Stopy wparli w strzemiona.

Wrzask surmy.

Spięły się na zadach żgnięte ostrogami konie.

Runą na siebie.

Trzeszczą pękające drzewca. Dzwoni i zgrzyta miecz.

Iskry się sypią z pod korda. Rżę koń.

Gdy Grudzieckiemu kopija przez rękę przebiegła, — gdy ze strzaskanem ramieniem Kazimierski Biberstein, wysadzony z siodła, runął na wznak, gdy idzie zwycięzca po złoty wieniec ku oknu Anny królowej i ku czarodziejskim uśmiechom na licu Gryzeldy, — wzrusza się dziko wielki tłum. W wolne powietrze uderza zły wrzask trąby, a pod tęgimi dłońmi widzów szczeka z rozkoszy broni.

Ledwie giermkowie unieść zdołali rannych z bo-

iska, rozsunie się żelazne koło rycerskie i wydłuży w lśniąca, pancerną ulicę.

Wyjechał z bramy domu „pod barany“ Mikołaj Wolski, miecznik koronny, na słoniu, za etyopa przebrany. Siedzi w wieży ozdobnej, w której raz wraz kule świetliste tryskają.

Za słoniem zdąża Mikołaj Zebrzydowski na wozie, który ciągną białe i czarne godziny dnia, — jako Saturnus, wiek złoty wiodący za sobą. Wóz Saturna pogania Czas, otoczony przez symbole słońca i gwiazd.

W ślady Saturna wstępuje wnet Jowisz, którego wyobraża Stanisław Miński, herbu Prus. Gromowładzca siedzi na wozie, ciągnionym przez trzy orły czarne, — a trzyma w ręku gniazdo, z którego biały orzeł wzlatuje.

Skoro minęły koło i zeszły z oczu tamte obrazy, ze szpiglerowskiej wysuwa się brama, zwolna kołysze i ku zgiełkliwej radości wielkiego tłumu w rynek sunie brama tryumfalna.

Przed nią kroczy zastęp pieszy w kilkadziesiąt człowieka. Za nią trębacze, chorągiew, jazda.

Przed jazdą, w odstępach, rotmistrze.

Przed każdym rotmistrem giermek, kosztownie odziany.

Dźwięczy w uchu hetmańskim piechoty krok, połyskującej krótkimi na ramieniu szefelinami o złożonych grotach trójgrannych starorzymskim wzorem. Okrągłe, rzymskie tarcze ze skóry o żelaznej pośrodku osłonie ścianę ruchomą stworzyły. Krótkie miecze w brązowej oprawie, z cyzelowanymi główkami w linię ich wiążą.

Za wojskiem na wozach wspaniałych płyną pomiędzy ciżbę podobieństwa spraw wojny, dokonanych

pod Wielkimi Łukami, pod Połockiem, pod Sokolską twierdzą i Pskowem. Obraz Inflant zdobytych, wizerunki miast, ogarniętych plectnicą, zamków — Krasne, Grodek, Sitno, Nowe, Ostrów, Zawołocz, Toropiec, ogniem zbitych, — przesieczny w lasach, któremi otworzyła drogę na Ruś siekiera węgierskiej piechoty, — widoki oblężenia murów i sposobów ich dobywania.

Na innych wozach zwałono pancerze, „szlemy“, „szczyty“, „łaty“, zbroje rycerzy moskiewskich, oszczepy, miecze, drzewca i broń. Za tymi wozy szli ludzie tamedzni, jakoby więźniowie i wielka zdobycz.

A na samym końcu posuwał się najwyższy wóz, ciągniony we cztery konie białej maści. Za tym zaś wozem przywiązany szedł człowiek, jakoby Wielki Groźny Książ, co syna rodzonego, — według gminnej powieści, — nie wahał się w pierś pchnąć kosturem i zamordować za to, że polskiego pochwalił króla.

Za tym zaś aktorem szli inni, jakoby hetmani walczących Rusi wojsk, wojewodowie zamków wytrwałych, rycerze, łuszcza ludu posłuszna z żonami, z dziećmi... A wokół nich, podskakując, pomykał się, przysiadł błazen ucieszny, który się dziwnie wesoło naśmiewał z porażonej dumy Groźnego Książa Wszech Rusi, — który go w ucho palcami bił, za dołmę ciągnął, w tył łbem, jak baran, trykał...

Grzmot śmiechu na widok figlów jego i drwin po gankach, oknach, drzwiach, po attykach, dachach, wieżach...

Cieszy się w mocy swojej polski lud...

Klaszcze w dłoni i chichocze dowoli.

Obok wozów tryumfu kroczą niewieście postacie w wiotkim atłasie z woniejącymi lampami.

W pośród nich cudna muzyka.
A wszyscy w kwiatach, w wieńcach...

Wzniósł się sen jakgdyby wyżej.

Przestał być jeno widokiem.

Weszło weń samo życie i głębokie aż do skrytego
dna uczuwanie.

Postrzega hetman w martwych mgłach snu, w ciem-
nych głębiach uśpienia samego siebie i staje się sobą
do cna...

Lekkim, żywym krokiem z ciemnej ulicy wynu-
rza się w rynek krakowski.

Nie jest sobą, rycerzem polskim, lecz jest boginią
Dianą.

Na ciele nagiem ma jeno lekką szatę zieloną.

Szała u kolan klamrą spiętą.

Na stopach ciżmy kreteńskie.

Kołczan pełnostrzały u ramion, w ręku srebrny
łuk, którego pocisków świst wyrывa z powietrza skrzy-
dła orłowe i sępie, przecina bicie serca dzika, niedź-
wiedzia, żubra i lotnego jelenia.

Wzburzone włosy, spięte gałązką tarniny, oświeca
półksiężyc dyadem.

Powab twarzy, zarys klasyczny czoła, nosa i ust,
piękno oczu, kształt głowy Apollina Citareda przypo-
minający—nadał się, jak żaden inny, do ukazania oczom
ludzkim siostry słonecznego bożycia.

Jak dziewicze piersi jej wyzute są z pełni nie-
wieściej, a biodra i ramiona wychudły, stały się twarde,
muskularne, ścigte i wysmukłe na podobieństwo mło-
dzieńczych, od wiecznych pościgów, łowów, od nieusta-
jącego biegu i skoków, wskutek przebywania w pław
rzek, przez ciągłe gry, zmagania, walki, wysiłek i cwi-

czenie,—tak znowu, tęgie młodzieńcze lędźwie, kształtne ramiona, w wojennym trudzie rozwinięta pierś, jak u nierozkwitłej dziewicy,—upodobniły rycerza do córki Latony.

Czternaście najczarowniejszych nimf Polski otacza go ze wszech stron. Półnagie ciała dziewiczych, dzikich, błędnych nimf ze wstydu drżą pod oczyma żelaznych rycerzy. Tuli się do bogini Diany ich panieństwo, gdy z za krat przyłbic patrzą w nie gorejące oczy...

W popłochu, wśród szczekania, skomlenia i wycia wiodą nimfy na smyczach mnóstwo chartów, sfory naszczekujących ogarów i kundlów, przeznaczonych do stanowienia dzika w ostępie.

Środkiem tej zgrai prowadzi bogini na złotych wodzach dwa cudne, rozłożystorogie jelenie.

Niezgłębiona i niewymowna tajnia głuchych głosów młodości, która w tamtej chwili pamiętnej serce przejęła,—rola bóstwa pięknego wówczas zagrana,—jeszcze raz z całą mocą ozwała się w tym czarującym śnie. Oto stał się powtórnie samotny nad ziemię wzlot,—junackie włamanie się w świat półbogów,—złudny, krótkotrwały byt w ich kolisku,—zrazu odległy, później coraz donioślejszy z bóstwem Diany zespół w jedno,—przeistoczenie się w nią,—w jedną niestrzymaną potęgę i w jedną postać zwarcie się dwu płci.

Siła męska tak nieposkromiona, drapieżna, bezwstydną i nie do zniesienia, że pod jej spojrzeniem zwierzę drży, a spazmem bolesnym kurczy się kobiece łono,—i nieskalana dziewiczość, cnota czulej litości i dobroć najsubtelniejsza, spoiły się w obrazie widma bogini, krocącym przez krakowski ciemny rynek.

Niesie rycerz przez milczące koło wojowników

w ponadziemskim uśmiechu sen o tej mocy nieznaney nikomu z nich, która się zawarła w pocałunku, złożonym przez bóstwo na ustach Endymiona śpiącego, a zarazem o tej, z którą bóstwo patrzyło w swej bezlitosnej ponadboleści na Hipolita skon.

Chyże, jak błyskawica i jak ono przerażające, najdziwniejsze z uczuć jeszcze raz sercem wstrząsnęło.

Zalśniło i przemknęło górujące.

Stronami kędyś przewiało, znikając,—ni to w nocy niewidzialne skrzydła husarskie, gdy dokądś pędzą nad nędznem w ziemi gniciem w kopyt rączych tętnicie...

Śni się precz, śni się dalej, że to nie tylko przez ulice Krakowa ciągnie zgiełkliwy orszak i sfora, lecz od Karpackich pędzi gór do szumnie-piennego morza i od Byczyny po Psków.

Stopami zoranemi od granitów i piargu orłowych turni polecą nimfy po osypiskach kwarcu, po jałowcowych pustkach wśród skwierku stad kwiczoła i świergolenia jemiołuchy,—po jodłowych borach, gdzie ćmaka w bagnie pysk wieprza dzikiego,—po suchych sośniakach i brzozowych mazowszach liliowo-wrzosych, skąd złota sarna pomyka,—po bajorach, obrosłych rokitą, osędziałą od leniwej mgły,—aż do puszczy wielkodrzewów, gdzie ponuro chrząka żubr.

Na szyi i na ramionach chłód rosy rannej, oddech lasów, drzemiących z prawieka po stokach tatrzańskich gór, zimno zczerniałego śniegu, bryzgi wodospadów i ostre smaganie wichru.

W nogach skostniałość, jakgdyby stopy brodziły po wodą przesiąknięm mchu puszcę osędziałych, żywicą pachnących pod Pskowem,—i w słonych pianach fal, co chłoszczą piaski kaszubskie.

W rękę zaiste boska siła, jakgdyby siła śniąca przez wieki we wszystkich lasach Polski, Litwy i Rusi, leżąca w polach, puszczonych odłogiem w wieczystą dzierzawę dziewannie i wrzosowi, — w górach, porośniętych jałowcem i kosodrzewem, gdzie przez stulecia tajemnica samotności przebywa i nieskalane bytują żywioły.

Dłoń ściska złote wodze, strzymujące skoki jeleni. Lecz to nie skoki dzikich jeleni strzymuje dłoń, lecz nieposkromiony pęd, jelenie skoki, leśną, górską, w rozłogach zrodzoną moc własnego ducha, — żądzę, potęgę i samomiłość nieposkromioną swego plemienia!

Moc zadawania śmierci w tych wodzach — i moc patrzenia w grot strzały, której bełt na cięciwie śmierci.

Mętnieje sen...

We mgłach widać konie skrzydlate, wiozące Venus w złotogłów otuloną. Widać Parysa, związanego łańcuchem.

Podaje Venus urocza złote jabłko cudnej królewskiej synowicy.

Podparty na rękę patrzy Stefan król w rynek krakowski, pełen ludu polskiego. Uśmiech, rzadki gość, na twarzy posępnego króla.

Muzyka.

Uderza w powietrze odgłos trąb.

Miotają komornicy w tłum srebrne talary, na których twarz królewska wyryta.

Cieszy się lud.

Pieni się zachwyty w jego sercu, jak mocne wino w pucharze przez cudzoziemca rzeźbionym.

Sławę swą trzyma lud w dłoni.

Patrzy w nią, opija się i pieści jej wizerunkiem.

Samotna Diana, uchodząc z rynku w ciemną ulicę,
przymknęła oczy.

Wzdycha.

Ciężki kamień na piersi jej spadł...

Jakże dziwny widziała lud!

Wszystko w nim nie samo swoje, nie własne.

Głucha w nim tylko, pierzchająca na wsze strony
siła...

Zuchwała w nim tylko dzikość, jak w morzu,
w lesie tatrzańskim i w szczerem polu...

Serca-li to bicie tak głośne, tak mocne, tak twarde?
Nie serca to bicie, lecz końskich kopyt tętent
i szcęk.

Zasłona się szeroko rozdarła i wysoko podniosła,
czyniąc wejście przestronne, jakoby wrota fortalicyi.

Słychać wciąż bliżej, coraz donośniej potężny łos-
kot podków wielkiego rumaka po bryłach bruku, gdy
grube jego kopyta kuja w głązy, idąc pod wielkim
jeźdźcą ciężarem.

Łeb konia w naczolniku stalowym. Ślepie juchą
zalane. Spomiędzy zębów, głodących wędzidło, chłapie
piana. Kłęby okryte rzędem z bronzu. Grzywa trefiona,
między uszyna czub sowity, a ogon w węzeł spleciony.

Jeździec na głowie ma szłom olbrzymi,—na sobie
pancerz, jak mur gruby. Siedzi z wytężonemi nogami
w ciasnej kulbace. Przy okutych jego kolanach skrzydła
rzeźbione. U pięt dwie ostrodze, zwierające siłę rumaka
bodźcami jak sztylety długimi.

Usta rycerza w dół skrzywione. Oczy głuche.

Na szyi widnej z pod żelaza żyły się prężą.

Twarz jego bronzowa mieni się od uśmiechu mą-
drości.

Zdarł wodzami łeb ogiera i pysk jego nagiął aż
do kolan. Wstrzymał się u samego posłania.

W dół patrzy.

To, co najbardziej dzikiego zawiera się w pogardzie zwycięscy, zatapia się w oczy hetmańskie.

Rozewrą się po bardzo długiem milczeniu dumą wydeęte jeżdźca usta.

Spytał:

— Pomnisz-li mię?

— Pomnę, rycerzu.

— Marzyłeś u ostróg moich o sztychu i mocy i o żelaznym zamachu wielkości.

— Marzyłem, żelazny wodzu.

— Lecz nie pojąłeś treści mojej nauki.

— Pojąłem twoją całą naukę i odtrąciłem treść.

— Niewolniku.

— Najemny Coleonie!

— Ażaliżeś i ty nie najemnik, mocny hetmanie?

Za buławę, za urok władzy nad rodzonym ludem, za moc ścinania głów, za pokłony i trwogę cudzego mołochu, za rozległość dóbr, za rostruchan wina u stołu szczodrego króla, za pieniądź zasług parobczański podejmujesz, najemny trud!

Rzecz hełman:

— Skłamałeś! Brałem bogactwa ziemi, żeby z nich, jak garncarz z jałowej gliny, wyciskać cenne naczynia, — żeby budować obronne zamki, siedliska zachodniej oświaty po krańcach ojczystej strony. Roskosz to była moja budować Polskę nową na fundamentach z granitu!

KRZYK W OBOZIE DALEKI — DALEKI:

— Roskosz to była twoja budować Polskę nową na wsiąklej od wieków w ziemię ruskiego ludu krwi,

na krzywdzie, na głodzie, na chłodzie i na ciemnym zabobonie!

HETMAN:

— Uderzałem nogą w glinę ziemi ruskiej i dźwigałem polskim ramieniem, między kurnemi chatami, kiedy tego nie czynił nikt, zamki grube, jakoby rzymski kasztel Anioła, strzeliste, jakoby tatrzańskie skały, żeby pierś ludu tego bezpancerza w zamurzu kryć się mogła od pocisku, gdy runie z Azyi wróg. Brałem *clavam belli* i nie drżała pod ciężarem wojennego żelaza ręka moja. Szedłem przez życie Rzeczypospolitej granicami, traktując walecznych ludzi cudzych śmiertelne mogiły, bom Europę pchał w krainy dzikie. Nocą moją bezgwiazdną cwałowałem przez pola dalekie, gdzie trupy rozmięcione przezemnie, dziobie ptak.

Warneńczykowym szlakiem wpław przebywałem rzeki krwawe, któremi nie woda zafarbowana, lecz nieśmiertelna chwała wojenna mego plemienia się toczy. Była to moja własność jedyna szczęście polskie zasłaniać, wolność naszą nieść daleko, a znak zdrowia ojczyzny, buławę wojenną, pokazywać ku czci obcym plemionom. Jam wiedział! Byłem z sejmu polskiego, ze stolicy sprawiedliwości i wolności, od ludzi nieprzymuszonych posłaniec do ludów, które topór żelaznej pychy rąbie.

GŁOS ZA ZASŁONĄ NAMIOTU:

— Śniłeś, że ziemię swoją, jak własnego ducha wojennym opasujesz rzemieniem i że brzeszczot jej do lewego przytroczyłeś boku, jak sobie.

Chciałeś lędzwiom ziemi dać siłę skoków lwa,

a prawicę jej wyciągnąć do świata Marka Aureliusza z kapitolinńskiej góry uprzejmym uściskiem...

ODGŁOS ZA ZASŁONĄ NAMIOTU.

— Ziemi twojej, gdyś nocą bezgwieздną cwałował i kupy nieprzyjaciela z jej granic uprzętał,—ciężki wyrósł brzuch. Za kusy jest pas. Brzeszczot za nisko. Za krótka ręka, żeby do główki przez górę brzucha dosięgnąć...

COLEONI (*ze śmiechem rzeczy*):

— Wszechświat zbudowany jest, wodzu, z tego samego tworzywa, z którego zbudowany jest ten ołótwój sen. Pewny w nim i trwały jest tylko miecza stalowego, na brusie ostrzonego cios.

Miałeś w prawicy jedlca miecza, a w ręce moc.

Za sobą miałeś okrzyk ludzi wojennych, który na ziemi o wszystkim stanowi, gdy nim, jak wydobyty sztylet, moc włada. Trzeba ci było dyktować graczom politycznym uniwersał swojej potęgi, tekst aktu swojej chwały.

HETMAN:

Hetman polski jest sługą narodu.

COLEONI:

To też cię naród potrafił, sługo, aż na to pole.

Czyliż nie widzisz, żeś tu *exul* i pośmiewisko.

Do nędznego skrawka ziemi łańcuchem się przykułeś. Ambicyi cudzej służysz. Na tarczy wolnego rycerza wymalowałeś symbol czyjejs, nie własnej potęgi, i tem się chełpisz, niewolniku!

Należało ci się było ode mnie nauczyć grubo i twar-
do pogardzać niedolą i upadkiem tego, co, biczując
duszę własną uniesieniem, zowiesz ojczyzną. Ojczyzna—
zespół szaleńczy wzajemnego wszystkich pochlebstwa.

Kto pochlebstwem gardzi i sam nie schlebia, ten
tylko ze wspaniałą dumą i z rzeczywistą wielkością
będzie mógł odtrącić od siebie tyranie, gwałt i podłość
przemocy, którą niesie w swem berle ojczyzna zwy-
zwycięska.

Rycerz wolny zamyka się w zamku swego ducha,
jak ja w moim kasztelu Malpaga. Stamtąd się bawi wi-
dokiem nędznej gawiedzi nizin. Stamtąd zawiera przy-
mierze z mocarzami, jak ja z Wenecją, albo z Piotrem
Medyceuszem Florenckim. Walczy z kim chce, tam
gdzie się jego duch o godną sztyletu przeciwność za-
hacza, i walczy, o co chce.

Dziś tedy w Neapolu ramię w ramię ze Sforzą
i Braccio da Monte, a jutro, poznawszy wszystek sekret
ich siły, przeciwko nim. Dziś w szeregach Wenecyi
przeciwko Filipowi Visconti, a nazajutrz na czele pię-
ciuset towarzystwa z księciem Medyolanu przeciw We-
necyi i przeciw Sforzy, niedawnemu przyjacielowi. Gdy
zechcę, biję księcia Orleanu w obronie pospolitej rze-
czy medyolańskiej, a gdy zechcę, ofiaruję Orleanowi
przymierze. Aż przyjdzie do mego namiotu niedawny
wróg złotolity doża wenecki i błagać mię będzie z po-
korą, żebym ujął w dłoń naczelne dowództwo nad jego
wszystką potęgą. Wtedy uczynię, co mi wysoka moja
rozwaga i zimna moja woła poradzi. I wtedy także,
patrzając na wylot przez subtelne przedzie ich wszystkich,
rozważywszy zabiegi kręte i niskie szalbierzów,
uczynię to, jedyne, co ja wiem sam, co mi mój przy-

jacieli, zimny miecz, w boju powiedział, a co ku szczęściu niewątpliwemu Italii zmierza.

HETMAN (*śmieje się gorzko*):

Znam tę śpiewkę, o cudzoziemcze! Śpiewano mi ją na dziewiczym moskiewskim polu i śpiewał mi ją pan Zborowski jeden, drugi i trzeci. Huczy ta pieśń po wieżach polskich zamków... Jam ją prostacko strzałami falkonetów u nagich granic ojczyzny zagłuszał. Umiałem ja dawniej na te piosneczki zagadkę rzucić. A rzadko który zagadkę umiał rozwiązać. Kto nie rozsupłał, przegrywał, za karę szedł pod mój buzdygan bić się z wrogami ojczyzny na śmierć.

Nigdyś, o cudzoziemcze, za żołnierza nie służył w wieczystych legiach polskich, zbieranych źle, niekarnych, nigdy niezapłaconych, obdartych... Nie wiesz, co jeszcze nadto, — ponad posłuszeństwo i rozkaz, — może być w człowieczej duszy i jakie jeszcze, za widzialnem niebem, może być niebo nad skrawkiem jałowej ziemi.

Nie wiesz, jaką cenę ma w duszy ściana ubogiego domu, komin i barłóg nędzarza. W barłogu często rodzi się dusza wybrana. A jak człowiek nigdy tak mocno nie nienawidzi cudzoziemca, jak nienawidzi podłego rodaka, tak znowu cześć dla cichych a wielkich w Polsce dusz za wszystko na szerokości ziemskiej starczy.

W nich to mieszka ojczyzna. Bywa tu w Polsce zamurowana dozgonna wierność dla przegranej sprawy, nieznana nigdzie na świata obszarze, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim czynie widać, niesplamiony honor, sam siebie niczem, głodem ducha karmiący w podziemnych lochach nędzy bytu.

Rzadko to, rzadko...

Jako w zamku rozpustnym trafia się skarb w martwej i głuchej ścianie zamurowany, tak samo jest z Polski cudnemi duszami. A skarb zamurowany, o cudzoziemcze, za wartość zamku częstokroć starczy...

KRZYK TŁUSZCZY CIURÓW:

Rabuj namioty!

Skarbne wozy rozbijaj!

Bierz, kto żyw!

Jedyna to chwila, gdy wypadł kiścień z ich dłoni, a żelazna ich pięść w udręczeniu osłabła.

Jeżeli w tej minucie nie porwiemy kryjomo, jeśli ich do ostatka z siodeł bojowych nie strącimy, jeśli im gardzieli osłabłych garścią nie ściśniemy potężną, a masą nie przygnieciemy kadłubów,—wytechną znowu w tej chwili, ockną się jeszcze, wrogów mieczami roztrąca i na nowo nam piersi kolanami przyduszą!

GŁOS ZA ZASŁONĄ NAMIOTU:

Wdeptywałeś pokolenie za pokoleniem w bajoro bytu. Chwalili śmierć, że kończy ponure dni walki podłej o jado. Kładli się w glinę z pociechą, że nareszcie zazną spoczynku i nie będą na ciebie pracować.

ODGŁOS ZA ZASŁONĄ NAMIOTU:

A w którym z nich duch się niebiański widomie objawił, uczyniłeś zeń sługę swego konia i nagrodziłeś zaszczytem podawania przemożnej twej stopie strzeżenia srebrnego.

ZWOŁANIE PIERWSZE:

Urodziła mnie matka pod wiekiem dymu, nisko nawisłem. Złożyła mnie matuleńka na miękkiej pościółeczce z żółtej gliny. A otulała mnie, żebym, ku pańskiej stracie, nie uświerkł, łajnem bydląt. Grzał mi stopy przemarzłe nawóz koni rycerskich, a grzbiet schylony — basior podstarościego.

ZWOŁANIE DRUGIE:

Świecił się jasny miesięczek, kiedy mi ojca wbili na pal za to, że panu, wstawszy zpod batów, w ślepie plunął. Ojca mojego rozwarta gęba łykała światło miesięczne przez całą noc. A ja się patrzył, sierota, a ja się patrzył, da-dana!..

A ja się patrzył i wtedy, jak mu się światło w skosniałych wreszcie oczach odbiło.

W zamku wysokim grała w tę noc panu wielka na wiwat muzyka, wielka muzyka — da-dana!

ZWOŁANIE TRZECIE:

W żołnierze mnie zwerbował kapitan z lochu, gdzie my z ojcami w smrodzie i zimnie zdychali.

Jakich ziem nie deptała ma stopa, jakich miast nie burzyła prawica, jakich siół ogniem w niwecz nie puszczałem w zagony! Perzyny za mną szły, jak cień. Nie zestarzał się u żłobu mój wierny koń. Jednych ścinałem, drugich mordowałem powoli. Tego nie wiem, o com się bił i przeciw komu. Biłem się dzielnie i wypaliłem siedlisk niemało, żeby jegomość mojej rotы kapitan więcej mógł zedrzeć i złupić. Patrzyłem, jak w jasyr gonią ruskie i polskie wsie, jak chłopstwu

zbuntowanemu nos i uszy, a kniaźskim pachółkom
jeno uszy obrzynają... Hej, ludzie! Nie ma żołnierz ludz-
kiego serca. Kamienne serce włożyła dola w piersi
żołnierza na wieki wieczne!

ZWOŁANIE CZWARTE:

Przez cały żywot kopąła moja matka nieczułą
ziemię.

Dla tego kopał ją ojciec, żeby pan owoc z niej
jadł soczysty.

My zasię żuli łodygę i korzeń.

A jam roztropny nie kopał ziemi.

Jam się u pańskiej nogi skulił, jak pies.

Skomlałem mu pochlebstwa. Wielbiłem wszelką
chuć pana.

Oblazła mnie podłość udawania i przechadzałem
się, jako w odzieniu, w wiecznej podłości.

Zgiął mi się grzbiet od nazbyt długiego pokłonu.

Teraz się odegnę.

Stanę się nareszcie prosty.

Spojrzę mu w oczy swemi własnymi oczami, gdy
pokruszone są jego ostrogi, gdy zdjął z ran skrwawiony
pancerz.

Pchnę go teraz nożem w struchlałe serce.

ZWOŁANIE PIĄTE:

Siostre moją jednorodzoną, dziewczeczkę wielce na-
dobną w siedemnaści leciech wypatrzyło bogobojne
oko, jak kostki z nietoperza pokryjomu dobywa, kreta
piastuje, a jaszczurkami płodność odejmującemi się
zabawia.

Wnet — rata! — w całym pospółstwie w mieście

a na przedmieściu. Siostrzyczkę moją, nowicjatkę szatanową, processionaliter przed pana wójta i rajców na ratusz wiodą. W loszku górnym, białogłowskim, ratuszowym umiejtnie przez mistrza na tormentach ciągniona, zrazu strach blady i drżenie wielkie za szatańskim sukursem na mistrza i urzędniki jego przepuszczająca, — nadto milczenie sobie zatwardziała, na mękach srogich leżąc, sprawowała i umysły przedziwną sztuką odmieniała sędziów. Aliści subtelnie, zwłaszcza szydelkiem, spraktykowana, kajając się szczerze, szatana, magisterka swego, odstępuje i dobrowolnie przy wszystkich jaszczurcze winy wyznaje. Pytana, czy prawda, szczerze a sumiennie przytwierdza, jako:

zwiedziona od latawca, szkaradnością się z onym mazała;

chmurę na sobie czarną wzdłuż ciała mieć lubiła, który obłok po sprawie ku górze na powietrze się wznosił;

succuby z onym, anulusem szpetne płodziła;

na mietle po powietrzu chasała;

miotłą kropiąc, deszcz na ziemię trzęsła;

grady i powietrze szkodliwe z pioruny i błyskaniem poruszała;

piorunami ludzie cnotliwe razila;

dziateczki nienarodzone w matek żywocie dotknięciem życia pozbawiała;

igły w główki niemowlątek wtykała;

małym dzieciom rączki urywała, szatanowi je ofiarowując;

konie ogiery pod rycerzami wściekle czyniła i zabijała;

w kota się, tudzież w mysz przemieniała;

z noża mleko doila;
masło majowe z deszczowej wody kłęciła;
sprawy, których nie masz, przed oczy niewinnych
młodzieniaszków, czarami usidlonych, jako sprawy,
które są, stawiała, iż miłością ślepą ku onej zapaleni,
od rozumu swego odchodzili i nic innego, jeno samą,
sposobem wieszczym widzieli;

duchem swoim męża godne częstokroć kusiła, iż,
od ckliwości zwyciężeni, ku onej zdala ciągnęli.

Ktorem jawnem przyznaniem sprawiedliwość się
sądu ukontentowała i wszystka ludu ciżba.

Więc katedralnie siostrzyczka moja niecnotliwa,
kłątwą opatrzona miłosierną, ze świec połamaniem,
mistrzowi jest w ręce oddana.

Tedy mistrz prawy, magisterka i wieszczego du-
cha ze statki swojemi adwersarz srogi, wywiedzie onę,
z szatek, białogłowski wstyd chroniących zwleczoną,
za miasta mury, któremu mistrzowi lud, sprawiedliwo-
ścią pałając, słusznem urąganiem i śmiechem trafnym,
naigrawaniem, szydnością a zgrzytem na siostrzyczkę
moją, szatańską oblubienicę, wielce pomaga.

W jamę mistrz głęboką, od drabów pilnie wyko-
paną, latawcową gamratkę, z powrozów statecznych
rozwiązaną, pięścią strąci mocarną, a plugawstwo jej
ziemią nieszczędnie przywalać pocznie. Czemu pospół-
stwo cnotliwe, ile sił, a wszakże wedle reguły od
mistrza wskazanej, poratunek niesie, kamień na nie-
cnotę i one skiby gliny pracowicie miotając. Próżno
latawiec, jako to na oczy wielu widziało, nad jamą
nietoperzem krąży, ziemię na fryjerce wstrząsa i glinę
nad wypowiedzenie ciężką z niej dźwiga, — to jej ku
nozdrzom powietrza podsunie, — to krzyk z niej żało-

ściwy wypuści,—powiek jej uniesie,—rękę z błaganiem
udźwignie ku ludziom...

RYCERZE:

Mocny hetmanie!
Wstań!
Prawa dopilnuj!
Czyś słyszał zgrai ten krzyk?
Skarbne wozy żakują, z siodeł strącają wojenni-
ków, co od męki konając, stoją w nocy na czatach.
Karzmy srogo zbuntowaną czerń!
Ścinajmy nikczemne łby bez litości, gdyż rozpleni
się złe na motłoch cały, zgnoi nam lud!
Wypełńmy bunt, gdyż zginie od zegadeł ojczyzna!

ZWOŁANIE SZÓSTE:

Przeklinajmy ich pokolenia, ażeby się przegniły
dusza ich odmienić nie mogła!
Nienawidźmy ich, obozowi towarzysze!
Nienawidźmy ich po nocy, za dnia, z wieczora
i o poranku, kiedy chrapia po uczcie!
Czekajmy!
Czyhajmy!
Gotujmy w rękawie cios za matki nasze, skopane
ich żelaznemi butami!
Nadejdą na nich jeszcze gorsze chwile.
Nadejdą chwile, gdy ich obkoczy i zmoże wróg.
Nadejdą chwile, gdy ich nieprzyjaciół położy.
Nieprzyjaciół ich, to nasz przyjaciel, sojusznik
zemsty naszej.
Ich sprawa, — to sprawa nie nasza.

Tylko cichaczem, tylko razem, tylko tłumem,
obozowi towarzysze!

RYCERZE:

Mocny hetmanie!
Ratuj sprawę!

HETMAN:

Uciszyć się obozie polski!
Słyszałem był okrzyk rotę świętą w podziemiach
Colosseum.

Daj mi przypomnieć, — szaleństwo polskie, — tekst
okrzyku świętego, gdyż roztrzaskana jest głowa moja,
a myśl w niej płomieniem gore!

Na twarz przed tobą upadam, — szaleństwo polskie...
Daj, niech ucichnie w duszy mojej gniew.

Ma złożyć dusza moja najtrudniejsze, przypowied-
nie słowo, ma ze siebie wydać uniwersał złoty do
wielkiej polskiej legii...

GŁOS W GŁĘBI NOCY:

Nie waż się uroczem słowem podniecać człowieka
przez ludzi podeptanego do bohaterstwa czynu.

Sam umrzyj, jeśli wola.

Pokaż przykład, jak bohater powinien umierać.

ODGŁOS Z GŁĘBI NOCY:

Jakże nędzne są dłonie, spoczywające w bezpie-
czeństwa namiocie, gdy na odwagę idzie i śmierć po-
nosi bohater, któremu przyłbicę Aresa z czatującą chi-
merą złoty uniwersał wdzije na skroń!

COLEONI:

Hetmanie!

Krzykiem nocnym pogardzaj.

Kto buduje Malpagę, zamek wielkości, co pod gwiazdy wynosi wieże uniesienia człowieka, musi rzucać w mur bryły wyrwane z trzewiów gór.

Nie bohatera otaczaj pieczę, lecz sprawę.

Przyda się zawždy ludzkości bohaterstwo, choć stokroć opryszek je skradnie i suknię sobie zań złotem tkaną kupi.

Korzystaj z bohaterów, jak ze złomów głazu, leżących w górze ludzkości.

Jeśli ty skonasz w rzędzie lakonów, któż sprawę wykonaniem spełni? Rozprysnie się sprawa wielkości w wydmy piaszczyste, rozpląszczy się w niziny, zarosłe trzcina.

P rzez dziedziniec wawelski hetman w nocy przechodzi.

Nogi jego, jakoby kosą podcięte.

Serce ustało.

W kościach czaszki myśli ogniem goreją.

Księżyc świeci na niebie.

Cisza w zamczysku.

Ruina wszędy.

Pustka głucha.

Echo przedrzeźnia każdy krok.

Każde westchnienie z kątów odrzuca i — wyśmia-
ne — kamieniem w ucho ciska.

W podziemia na lewą rękę wziął się wódz, w kró-
ganki wysokie wstąpił po schodach kamiennych.

Ciemnemi korytarzami, szlakiem młodości, drogą
omacną idzie w mroku ociężale.

Na dół go wiedzie kamienny chodnik, — w górę
zmusza dźwigać stopy.

Wreszcie u ślepego końca — drzwi, — w głuchym
murze.

Uderza dłoń w okucia raz, drugi raz i trzeci.

Serce w piersiach kołace, jako ta ręka w królew-
skie drzwi.

Nierychło szczękną zawory, — zazgrzyta rygiel
rdzawy.

Znowu sień głucha, z której przeszywający oddech
pleśni wieje, jak ze sklepów grobowych.

U końca sieni,—nareszcie,—owe zamczyste, znane,
cedrowe podwoje.

Rozwarły się same przed gościem,—cicho,—wraz.
Sklepiona, głucha, wielka komnata.

W gotyckie okno księżyc świeci.

Na kamieniach posadzki smugi leżą świetliste.

Mdłe światło w srebrnem naczyniu połyska.

Pustka.

Cisza.

W głębi, pomiędzy dwoma filary z białego mar-
muru...

Na wzniesieniu szkarłatnem — stółek...

Postać...

Światło miesięczne, z okna spływając, na czarnych,
kędzierzawych, krótko strzyżonych włosach lśni.

Plaszcz długi z jasnego atlasu grubemi fałdy spada
na ziemię w blaskach łamanych.

Sandał czerwony przerywa świetlistą strunę po-
światy.

Drzwi się zatrzaśły.

Radość senna w sercu hetmańskim, radość głę-
boka, niewysłowiona, radość kresu.

Oto już przyszedł...

Patrz! weń nieruchome królewskie oczy.

Spojrzenie ich żelazne, surowe, posępne.

Królewskie oczy widzą szmaty spękanych w boju
łachmanów, podarty pas, rude od zaschłej krwi, ku-
rzem przysute szczątki zbroi, rzemień, co w spuchłe
nogi wrósł,—miecz u boku potrzaskany,—odarte pie-
rze kołpaka.

Od okrucieństwa zamigotały króla Stefana sro-
gie oczy.

Martwa twarz krwi się powlekła rdzą.

Nielaska okuła usta.

Milczy.

Z pod nawisłych głucho powiek w ukos na zie-
mię spogląda.

Wybuchnął — HETMAN — w słowie:

— Wodzu niezłomny!

Do ciebiem gnał, do ciebie nocą, co koń skoczy.

Daj twardy rozkaz.

Spracowana moja głowa ostatnią zgubiła myśl.

Siła zettlała w ręku.

Któż przybrać zdoła munsztuka plemieniu temu?

Kto strzyma na wędzidle tę wykielznaną samowolę?

Wysiepał wszelkie wódze z rąk ten szalony pa-
nów lud.

Na kiel wędzidło wziął i w przepaść poniósł bez-
denną.

Sądź mnie, wodzu!

Karz mnie!

Jam winien.

Jam takisam, jak wszyscy oni.

Karz mnie, na co jeno twe serce stać!

Milczy król.

Oczu od kamiennych nie oderwał płyt.

Nieruchoma, zawzięta jego twarz myśli skrytej nie
wydaje.

O krok posunął się — HETMAN — ze słowy:

Przyszedłem do ciebie na sąd.

Sądz, lecz daj radę.

Zanoszę skargę na wszystko, lecz za wszystkim się wstawiam.

Wszystko sądz, któryś, jako orzeł karpacki, z wysoka na nas spoglądał.

Pozwól, niech ci zdam sprawę.

Skinienie królewskiej głowy.

HETMAN:

Służyłem ci wiernie, przysięgle, ja żołnierz stały.
Dla ciebie — siebiem się zaparł.

W tobie zobaczył szczęście polskie, ojczyznę naszą.

Tak, jakoś rzekł, wierzyłem: „moja chwała — wasza chwała, a wasza chwała — moja chwała“.

O, wielki śnie, wielki śnie polskiego rodu!

Rado nasza!

Rozumie nasz!

Ramię spiżowe, któreś nas miłością objęło i chciało
dźwignąć na kapitołińską górę potęgi.

Jam już ostatni z rady twej, sekretnej, do której
z nas, polaków, jeno czterech przypuściłeś.

W niwecz poszły sekretne praktyki przez Andrzeja
kardynała.

Sixtus Quintus Pontifex Maximus i król hiszpański
Filip Wtóry, Doża wenecki i Wielkie xiążę tokańskie,
a ty na czele trzydziestu tysięcy kopij, piętnastu tysięcy
arkabuzów, pięćdziesięciu tysięcy pieszego żołnierza
i wielkiej, ćwiczonej strzelby.

Ty, wodzu, sprawiasz siły lądowe Europy, a Xiążę
Parmy rozkazuje morskiej armadzie i wszystkim mor-
skim siłom, płynącym na greckie piany.

Idziemy warneńskim tropem przez Wołochy, w ziemiach naddunajskich wyrrywamy zamki, jako kły z paszczy tureckiej, w Serbach osadzamy w fortalicyach zbudzonych rycerzy Kosowego pola, którym słowiański przypasujem miecz.

Przechodzimy Dunaj, mostami spięty, i śnieżne kopy Bałkanu. Za nami plemię Serbów i plemię Bułgarów z martwych zbudzone,—przed nami Grecyi prastarej cheronejskie pola.

Szczęknąć tam miało polskiego konia kopyto, gdy idziemy grobowisko niewoli odwalać, a potomka Lakonów rozwiązać z łyka.

Wrzask trąby naszej zagrzmieć miał nad wodami.

Nad Archipelagu zielonem morzem, między Tracją i Azyi wybrzeżem, ponad Cyklady, Sporady, Salaminę, Eubęę i Samotraccę paść miało nasze hasło.

Z Kandyi, Lemnos, Samos, Chios i Rodos mieli uderzyć we wiosła galer greccy żeglarze, ku Bosforu dążąc cieśninie.

Tam sułtana ogrody chyżą stopą przebiegą i zakratowane okna seraju herkulesową wyłamią dłonią.

Mieliśmy tureckiego najeźdźnika opugnować w jego siedlisku, gdzie się po skałach nad morzem cyprys kołysze,—w sadach jego za wysokimi mury, gdzie pachną róże, fijołki i giętki kwiat hijacyntu.

Mieliśmy z Hagii Sofii polskim szczerbcem ściąć półksiężyc, a z twego czoła, transylwański wojewodo, zmyć piętno hołdownicze...

Jam rady tej, jak żywot długi, na jedno nie zapomniał żrenicy mgnienie.

Hasło twoje i dziś hasło me: „we trzech dniach wojsko gotowe, a we trzynastu z wrogiem się ścina“.

Odemkną się USTA KRÓLEWSKIE i spływa głos:

— Mów powieść o dobrej sławie swej.

HETMAN:

Wszystka ma powieść—twojej wielkiej pieśni odgłos
powinny.

Gdy z pod Połocka, gdy przez płomienie Wielkich
Łuk posępnieś patrzył w bory dalekie i gdyś krótkie
rzucił słowo, że na Carogród przez Moskwę wiedzie
szlak wojenny, — jam w duszy sępie twoje spojrzenie
i twe skrzydlate, dziejowe słowo pod sercem chował.

Po nocach dumę snulem głęboką.

A każdą twoją sekretną myśl, czterem zwierzoną,
do cna pamiętam.

Tyś dawno wiedział, że płaszczy Jadwigi królowej,
w którego fałdach nasze dobro i Europy światłość leży,
winien okryć zręby Rusi świętej, toporem Groźnego
Iwana mocno ciosane, — straszliwe rany jej i szeroko
rozlaną kałużę krwi.

Wodzu!

Otoż był nareszcie rozkaz otrzymał.

Pokulem konie, czeladź zwołałem ze wsi.

Wozym naprawił i z pod Smoleńska w mą drogę!

Siedm tysięcy żołnierza było podemną.

Gorąca, lipcowa noc.

Przez Carewo Zajmiszcze, Borysa cara groblą sze-
roką ruszyli moi rycerze.

Grobla carska szeroka: sto koni na czoło idących
zmieści.

Na falkonetu strzał za stawiskiem gródek stał bu-
kowy Wałujewa Hrehora.

Cna bitwa piesza wstrzyma mię dzień, — gracka utarczka, — po której na wielką możajską drogę!

Gródek kozacki obsadzon.

Przeciwno mnie książę Dymitr Szujski, Wasyla brat, samego, okólną drogą, na Kłuszyn, groźnym ciągnął pochodem.

Wojsko z nim straszne, wszystka ruska siła.

Karolusa Sudermańczyka przy nim rycerze za srebrny rubel najemnicy: Jacobus Pontus, Krzysztof Szumm i Edward Horn.

Od Rżewa tamci na mnie szli.

Wilków i hijen cudzoziemskich, — francuzów, Niemców, anglików, szkotów i szwedów nie miała pod ich buławą *colluvies*.

Więc padnie, — oczywista, — w szeregi moje szarańcza szeptu i szerzyć się pocznie sława, że świat mi zmierzł, skoro tę garstkę szlacheckiej krwi rozlać zamyslałam pod kopytami tak przemożnego nieprzyjaciela.

Dawno, — wodzu, — gorzkim poznałem rozmysłem tę duszy polskiej cechę główną, że ją jeno *eventus* dobry przekonać zdoła o dobrej sprawie.

Więc miałem w sobie rzecz zawartą — z Moskiewskim szczęścia skusić.

A skupiał, skupiał raty swoje książę Dymitry.

Podeszło k'niemu francuskie wojsko Hornowe.

Podszedł *agmen* Pontusa.

Wszyscy wraz od Carowa Zamiszczu pociągnęli u Kłuszyna nocować.

Na godzin dwie przed słońca zachodem, bez uderzenia bębenisty, ani nie trąbiąc, na piśmie do pułkowników rozkaz dzienny wysłałem.

Siedemset jazdy, królewską piechotę i zastęp ko-

zacki, pohrebiszczański do strzeżenia Wałujowego gródka
zostawiam, a sam *silenti agmine* w ciemną noc!

Idziemy po rosach, lasem kisnącym, głuchym rus-
kim ostępem mil wiele.

O ciemnej jutrzni strudzony hufiec mój stanął nad
wojskiem nieprzyjaciela.

Śpiący był kilkadziesiąttysięczny obóz Dymitrów.

Dwa falkonety zawaliły naszą ciasną, leśną drożynę.

A między puszcza naszą i wielkim ich obozem,
gdzie spał rusin, legły dwa sioła w poprzek, opłotka-
mi powygradzane.

Musiąłem naprzód płoty rozgrodzić, a wioski spa-
lić przed bitwą.

Gdy buchnął płomień, przecknie się wróg.

Stanął w sprawie pułk Zborowski, Olesia Samu-
elowego, — na prawem skrzydle.

Ku niemu przyrósł halickiego pana pułk, Strusia
Mikołaja.

Wyszedł pułk podolski czcigodnego Kazanowskiego
Marcina i Ludwika Wajherów, nad którym Samuel
Dunikowski.

Z lewego skrzydła pomknął na czoło mój pułk,
nad którym Janusz wiąże Koreckie.

W pośrodku roty piesze, — kozactwo pohrebisz-
czańskie.

Wskażę buławą!

Uderzył do potkania znak.

Wzięło szwedzkie, pontusowe wojsko prawą, —
moskiewskie lewą rękę.

Kniaź Dymitr wiódł.

Wielkimi otwory, pomiędzy opłotki złamane, pocz-
ną wypadać nasze hufce.

A skoro poszli skrzydlaci w pełny cwał, we wszystkich chorągwiach pęd, — nie strzymała Moskwa raz. Uciekać!

Nasi gonić chmary rozpierzchłe co tchu w baczności!

Lewe skrzydło weprze ostrogę, skoczy ze schyloną kopią w Niemców — Francuzów.

Dopadłszy, — w nich koncerzami!

Z ramienia!

Poczną i ci w ogromny obóz tył podawać.

Uciekł Pontus i uciekł Horn.

Stał jeszcze zdala trzecztyśięczny oddział francuski na skraju leśnym.

Ten się dał z dobrej woli.

Uciekł z obozu książę Andrzej Golicyń i Danił Mezecki.

Sam Dymitr książę tyłami wioski przez środek obozu uszedł ku lasom.

Zbył konia w błotach, obuwie zrzucił i boso, na lichej zagrodnika szkapie uciekł przez Możajsk do monasteru.

Pomknęły w trop usarskie roty w pogoń lotną, szybko nogą.

Siedm zdobyto falkonetów, kilkadziesiąt chorągwi, a w pośród nich Szujskiego adamaszkową.

Kniazia Dymitra wzięto szablę, szyszak, buławę.

Kosztowne sprzęty, srebrne czary, szaty, mnóstwo soroków soboli w namiotach znaleziono.

Zaprzęga żołnierz polski moskiewskie kolasy i z łupem wraca niezmiernym.

I uzbierało się kolas tych więcej, niż wojska, które na mnie w przeddzień, że je zgubić zamyślałem, szemrało.

W Możajsku, dostawszy butów i ścigłego bieguna,
pomknął książę Dymitr przed siebie i nie oprze się aż
w Moskwie stolicy.

A na wsiadaniem Możajszczanom rozkazał, żeby
u mnie łaski prosili.

Więc wyprowadzi do mnie Możajszczanie posły,
imieniem swym i zamków: Borysowa, Werehi, Ruży
z ofiarowaniem poddaństwa.

Następnych dni poddał się gródek Wałujowy.

Wiarę królowi przysięgli tameczni ludzie.

Przystali żołnierze gródkowi do wojska mego,
wiernie służyli i nieśli do stolicy uniwersały pokoju.

A na mej drodze pyłnej, dalekiej ku Moskwie
miastu, powzięło serce moje dumę, niespaną o wielkim
czynie!

Och, gdybyś wtedy był siedział nad nami!

Wchodziłem w pośrodek siół, pod kurne strzechy,
w ludzki mir, za częstokół zamkowy, pod malowane
cerkwi sklepienie, w zagrodę pustyni mniszej, w bo-
jarskich dzieci koło.

Przysłuchiłem się był skardze ruskiej i głębokiej,
zawodzącej, żalosnej pieśni.

Deptał zorane niwy, potem skiby polane polski
rezolut.

Cerkwie znieważył i wylupił, zamki wylał
i osiadł, w perzynę puścił siola, w pustkę zagony.

Ręką swą dusił mieszkańca tej ziemi, unurzanego
we krwi.

Oszustwo w polskim orszaku, polskimi osłonięte
szablami, wilczym skokiem wdarło się na czczony tron.

A gdy oszustwo zdławiła pycha, pycha zniszczyła
wszelką radę.

Jęk wionął pustkowiem pól.

Trwoga gnała lasami bezdomne tłumy.

Ciemny pogłos, szept straszący opętał rozum gromadzki.

A płacz niedoli ludu omywał trudy zwycięskiej polskiej nogi.

Serce moje skruszył żal.

Głęboka litość do czynu mnie pchnęła.

Rzekłem w duszy swej: pójdę w stolicę!

Krótkim kordem na gardle skarzę szalbierze, zmiażdżę pychę kondotyerów, uczynię ład, wskreszę prawo—i na wieki zbratam tę ziemię olbrzymią z rodzoną ziemią.

Ja spełnię, — rzekę, — coś zamierzył.

Ja wykonam, co straszna twoja śmierć zniweczyła.

A gdy tę myśl głęboko w sobie ważę, przylata wieść, że wielki książę Wasyl Szujski, z państwa zepchnięty i w Czudowym Monasterze na zakonnika ostrzyżon.

Wówczas roześlę listy mnogie, nader mnogie, do bojarów, że idę do miasta ich, nie jako nieprzyjaciół, lecz jak przyjaciel, nie jak stojący na zdradzie, lecz jak doradca, nie jako Łże-Dimitrowy poplecznik, lecz jako sędzia na Rostrygę.

Zapewniłem słowem hetmańskim, że nie będzie ziemi ich deptał, niweczył, rwał złodziej tuszyński, ani Sapieha, Zarudzki, ani Lisowski, Rożyński ani Zborowski, Wiszniowiecki ani Tyszkiewicz.

Moskwa nareszcie przed nami!

Wyszli naprzeciwko mnie bojarowie.

W obliczu Dziewiczego Monasteru na polu dziewiczem rozbito namioty.

Dawszy zakładnika głowa za głowę, w równej liczbie jechali moskiewscy i polscy rycerze.

Spotkawszy się na polu, pokłon sobie oddali.

Zsiadłszy z kulbaki, powitali się dwornie.

Za mną, hetmanem, stali pułkownicy, rotmistrze.

Ze stolicy przybyli kniaziowie: Feodor Mściśławski, Wasyl Golicyn, Feodor Szeremetjew i Daniło Mezecki.

Z nimi dumne djaki — Wasyl Telepniow i Tomiło Ługowski.

Ci w namiocie zasiadłszy, solidarnie oświadczą, że chcą mieć za cara Zygmunto-wicza Władysława.

Tam się spełniła twoja myśl, którąś Haraburdzie polecił, żeby król polski siadł na tronie Ruryka.

(A za moim namiotem zmawiał się w chwili tej żołnierz polski w konfederację i, jak w kotle, kipiała sedy-cya wojskowa, gdyż nie miałem czem kwarty zapłacić).

W ręce wydany mi został Wasyli Szujski, przeszedł car, i bracia jego Dymitr i Iwan.

Chciałem zaś jeszcze impostora w garście wziąć, z moskiewskiej ziemi wyrwać i wynieść.

Wonczas, zmówiwszy się z wodzami Moskwy, postanowiłem na tuszyńskiego wyprawę czynić.

Mściśławski kniaź z pułkownikami swoimi witał mię, jak rozkazodawcę — *prawitela* w tej naszej wspólnej sprawie.

Nie zawahałem się na Sapiehę i na braci tyłu, co z łotrem *pacta* zawarli, miecz przypasać.

I przystąpiła do mnie polska Sapiehy cnota.

Odszedł złodzieja.

Wyszło trzydzieści tysięcy bojarskich dzieci z Moskwy w pole, a moje wojsko polskie weszło w stolicę.

A Moskwa była pusta.

Zamki jej bez obrony.

Mogłem zamki zdradą osiąść.

Lecz, skorom słowo dał, więc przez bezbronne
szedłem miasto i nie zająłem zdradą stolicy.

Powziął wiadomość carzyk tuszyński, że nań cią-
gnę z moskwicinami i uciekł z panią swą, z Maryną.

Pomnę ucztę na polu dziewiczem, którą dla bo-
jarów sprawiałem.

Dary im dałem, wszystko, com miał, konie i sza-
ble, zbroje i czary.

A gdy zabrakło darów cennych i gdym ze siebie
zewłóknął pas i dał, brałem z rąk braci, co kto w obo-
zie miał.

Szczodrze my przyjaźń zawierali.

A we dwa dni Mściśławski książę gościł nas w do-
mu swym, — miodem prastarym nas poił, darzył bez
rachuby cennym sobolem.

Wtedy na imię cara Władysława dawać się jęły
zamki i krzyża całowaniem składać wierności przy-
sięgę: — Nowgorod Wielki, Czaranda i Ustjug, Pereje-
sław Riazański, Jarosław, Wołogda, Biełoziero i wszy-
stek olbrzymi trakt ku portowi archangielskiemu.

Przysięgła mu riazańska ziemia aż do Niżniego
Nowgorodu, Kołomna, Tuła, Sierpuchowo, ziemie nad
Wołgą i Oką.

Na usilną prośbę bojarów, cicho, ze zwiniętą cho-
rągwią zajęły wojska moje Moskwę miasto.

Pułk Alexandra Zborowskiego stał w Kitajgrodzie,
pan Kazanowski i Wajherów w Biełgorodzie.

W dziewiczym Monasterze—Alexander Gąsiewski.
Jam zasie stanął w Kremlu, we dworze Borysa cara
Godunowa.

Klucze od wszystkich bram białokamiennych
w mym były ręku.

Drogi z Wołogdy, z Jarosławia, z Kołomny były
w mej władzy.

Miałem w dłoni swej skarb carów moskiewskich
i skarb ich carstwa.

A wysiliłem wszystkę praktykę i rozum cały, że-
by pozyskać to plemię.

Schyliłem się aż do ziemi przed wiarą ludu, przed
obyczajem, przed patryarchą przestarzałym, nieufnym.
Zjednywałem dobrymi sposoby wojsko strzeleckie, dzieci
bojarskie, kler i lud czarny.

A gdym za dnia i po nocy rozplątywał supły i wę-
zły przez pana Mniszcha namotane, gdym rozwiązywał
pętle stryków pana Sapiehy, Lisowskiego, Wiszniowiec-
kiego i tylu innych, — widziało mi się, że ręce moje
wspiera przedziwne pocałowanie dziesiątków setek, lat...

Widziało mi się w omdleniach duszy, że na mą
pracę bezsenną czyhają jęki więzień głębokich, że za
nią wzdychają drogi jakowychś straszliwych pochodów.

W nocach drżała dusza moja, abym nie ustał,
przed krzykiem jakowymś głuchym...

Ścichł, złagodniał, zmalął moskiewskiego ludu
gniew.

Skłonił ku mnie ucho mir.

Patrzył mi w oczy wszystek naród: wróg li jestem,
czyli zaiste przyjaciel w niedoli.

Zamilkł sam podejrzliwy patryarcha.

Tak wielki trud, tak bezcenny mózół, rękoma w sa-
motności tworząc, serce ścierple w piersi dźwigałem,
bom już za sobą dobrze czuł polski nasz gwar rozju-
szony.

Musiałem, wodzu z pośrodku pracy, z Moskwy iść, żegnany błogosławieństwem, — pytać się, czy chcą panowie rada mą sprawę zgodą zatwierdzić.

Byli przecie przy Zygmuncie królu panowie Potoccy,—pan Jan bractawski i Stefan, kłólewski zauszniak.

Żeby zaś wszystkiej sławy nie pożarł, zdało się panom Potockim, żeby lepiej z moskiewskiego zamysłu nic nie było.

Więc do Moskwy więcej nie wrócił.

Miasto przymierza wiecznego, przepaść się, zemstą przenigdy nienasyconą huczaca, rozwarła.

Ja na te pola posłany dzikie z garścią zbuntowanego żołnierza przeciw wszystkiej tureckiej potędze.

(Ręce królewskie splecione.

Zwisła posępnie głowa).

Wzniesie HETMAN raz jeszcze głos:

— Tyś jeden, wodzu, mocen był za ramiona porwać ich ducha i trząść, iżby się opamiętał.

Tyś czekaniem bez wahania ciskał w łeb rozjuszony.

Tyś w senatorskiem płaczącem kole w Warszawie sądu na zdrajcę pałasz wyrwał po słowie zuchwałem Ossolińskiego.

Tyś się, przychodniu, nie uląkł rzeczy straszliwej: — z ramion strącić Zborowskiej głowy, wziąć jej za włosy bujne i w nie same, w źrenice wolności polskiej głowy dotąd patrzeć, aż przed spojrzeniem cudzoziemskiego twojego prawa na śmierć struchlały.

My zaś wszyscy, szlachta, jesteśmy ludzie wolni.

Każdym z nas rządzi jego samowola, a nami wszystkiemi rządzi pogłos tłumnej Zgody.

Wpółród nas zasiada niewidzialna nasza wieczna królowa Zgoda.

Ona jedna trzyma nas i w naród spaja.

Kto naszej królowej Zgody pojąć nie może i uznać nie chce, — nie jest Polakiem.

A Zgoda nasza narodowa jest w tem wszystkim, co ani jednemu z nas w niczem nie wadzi, ani jednego z nas na nic nie naraża, a wszystkim nam korzyść przynosi.

Na to jest nasza pospolita zgoda.

Tę okrzykujemy dziarskim, tłumnym pokrzykiem.

Wszystko, z czego wyrastać ma poświęcenie, wszystko, co się będzie sprzeciwiało któregokolwiek z nas korzyści, wszystko, coby stanowić miało wielką odmianę starodawnego dopasowania każdego wygody do wszystkich zgody, — to my zdeptujemy tłumnym pospółstwa naszego krzykiem i niszczymy ze zdrową pasją.

Oto jest sekret bytu tej rzeczypospolitej.

Myśmy, szlachta koronna, tę najjaśniejszą rzecz stworzyli.

W nas ona jest rozpuszczona.

Myśmy, szlachta koronna, w zdrowiu swem rozpuścili moc królewską i my także rozpuścimy w sobie ogrom tej mocy czarnego motłochu, który mię we śnie straszył krzykami.

Nasz sejm jest niewątpliwie stolicą sprawiedliwości i wolności.

Kiedy się wzruszy senatorska izba, albo rycerskie koło, kiedy na skutek czyjegoś natchnienia, porwie nas uniesienie gromadzkie, paść może prawo niewiadome, jakiego nie widział *orbis terrarum*.

Możemy wszyscy co do jednego korzyść ujrzeć

w wyrzeczeniu się dla ojczyzny ostatniej koszuli i ostatniego pacholęcia.

Możemy, jeśli zechcemy, na takim akcie pieczęć naszej zgody położyć.

Na piersiach każdego z nas, ludzi wolnych, leży prawo nowego porządku, pod którego złotym ryngrafem bije bezpiecznie serce złotej wolności.

A ja oto przyszedłem wzdychać ku twojej, Bolesława Chrobrego, nad nami samowoli i żelaznej przemocy...

KRÓL STEFAN głośno się śmieje:

— Wzdychać przychodzisz wierny żołnierzu...

HETMAN:

— Prawdę powiem!

Szalone były moje oczy od widoku tej krwi, co z Samuelowego rzygnęła kadłuba, gdym na cios miecza z blanki patrzył, a głowa ta trzykroć skoczyła ku stopom przemyskiego starosty.

Zetnie szlachcie szlachcica, najdzie dworzyszcze, zrabuje zamczyste komory, rozmiecie sieroty, lecz nie-dotykalną i niedotknioną szyję pańską pod goły miecz hajduka na pniaku położyć!...

KRÓL:

— Na tom ja przyszedł.

Z sułtanowego hołdownika waszym się, ludzi wolnych, stałem królem.

Poznałem cenę waszą.

Skoczyłem w nurt waszego szaleństwa, skąpałem się w radosnej jego toni.

Dotknąłem stopami dna.

Ujrzałem wasze dno.

I poczułem się w duchu, że ja was wyrwę z otchłani.

Stałem z waszą duszą o nią do boju, jako Jakób z Aniołem.

Wdeptała wasza masa trupa mego w ziemię.

I osinowym kołem piersi upiorowi przebodła, żeby już przenigdy zamyśł wielkiego czynu wpośród was nie powstał.

(Słysząc gwałtowne, ciężkie, zuchwałe kołatanie w tajne małe drzwi w głębokim murze.

Drzwi się z trzaskiem rozwarły).

SAMUEL:

(Na sobie ma żupan z materji złotej. Smugi i pasy krwi we wsze strony od szyi na żupanie zastygły. Przewiązany jest na biodrach chustą z kaszmiru. Na żupanie ma wdzianą szkarłatną z aksamitu ferezyą, rysiami podbitą i bogato obłożoną sobolem. Brzeg dołmy tej, cały zwałany we krwi, po ziemi się wlecze. Widmo olbrzymi katowski miecz oburącz ciągnie. Udźwignęło miecz i z zamachem ciśnie go pod stopy szkarłatne króla. Z łoskotem — szczękiem upadł miecz).

SAMUEL:

— Odnoszę ci trofeum twoje, Jakóbie...

HETMAN — z krzykiem:

— Nie tyś jest Anioł!

SAMUEL:

— Aza — ty, nocny, kanclerski ceklarzu?

HETMAN:

— Po rozkaz, po rozum, męstwo i radę przyszedłem do króla! Krótki jest mój czas. Odejdź! Musi wódz we mnie ducha swojego tchnąć, gdyż przepaść się otwiera!

SAMUEL:

— Splamiłeś polską godność. Cuchniesz zdala zaszczytami. I to ty chcesz połknąć wszystkę duszę królewską? Umiałeś dawniej cichaczem podchodzić w nocy pod dwór szlachecki uprzywilejowany, gdy wszystek spał.

HETMAN:

— Tak jest. Podszedłem cichaczem w nocy.

SAMUEL:

— Tyś jeden wiedział najlepiej, jak tylne wyrybać drzwi, któreś do sypialni się włamać.

HETMAN:

— Tak jest. Do sypialni się twojej włamałem.

SAMUEL:

— Rycerzu do wiązania postronkiem nagiego męża bez broni! Słyszę jeszcze ten krzyk, że Oleś, synaczek mój, zabity przez was, zbiry, po nocy! Och, gdyby nie ten krzyk, który mi serce obcęgami ukąsił, jeszczebym był nagi z ukrycia na waszą wyszedł zgraję! Jeszczebyście, królewscy dorobkiewicz, poznali moje szpony zborowski!

HETMAN:

— Pozwól mi pilny rozkaz otrzymać! Koń mój rży.

SAMUEL:

— Niemasz sprawy pilniejszej nad moją, bo krew z mego kadłuba płynie i płynie bez końca. Tyś to na mnie z blanki patrzył, gdy mię na śmierć z izby przedzgonnej wiódł Urowiecki. Delią tę ze mnie zdejmować chciał pan brat Drohojowski, żeby mi lżej było na pniaku głowę kłaść,— a tyś się spokojnie patrzył, kanclerski zauszniku!

HETMAN:

— Zdrajcą byłeś ojczyzny.

Pod Toropcem zmawiałeś się z Moskiewskim.

Niżowceś na ojczyznę sposobił, poprzedniku Nalewajka, żeby się trójcy waszej Krzychnikowi, Andrzejowi i tobie samemu przydały.

Łupiłeś prywatne domy.

Napadałeś na drogach i gwałciłeś niewiasty.

Shańbiłeś prawo gościnności podłą krzywdą cudzoziemca.

Króla znieważyłeś panującego.

SAMUEL:

Kto jest król?

Z mojej tu zasiadł woli.

Jam go na stołku polskim posadził, sułtanowego hołdownika.

Wyższa była potęga zborowskiego domu, niż wszystek jego wojewódzki tron.

Nie schyliłbym przed nim i dziś mojej przez braci kochanych do kadłuba przyszytej głowy, gdyby nie to, że się przez śmierć ze mną i z tobą zrównał,—boś i ty już tak, jakoby beze łba...

Radźmyż tedy, towarzysze, tajna rada!
(Schyla się hetman. Podnosi katowski miecz. Od-
da królowi. Na wielkiej, krzyżowej głowni oparł spo-
kojnie król Stefan ręce. Patrzą w Samuela głuche jego
oczy).

KRÓL — rzecze:

Ja się tego miecza nie lękam.
W herbie noszę znak — wilcze kły.
Nie brakło mi władzy, ni szczęścia w słonecznej
mojej ojczyźnie, zanimem na tę ziemię przyszedł.
Patrzałem zdala na dzieje waszych wyuzdań.
Zostałem przez was wezwany na ten tron.
Przyszedłem.

A skorom wdział na skronie bezcenne dyadema
i prastary na się strój polskich królów,—jam był wasz
król!

Mój się stał rozkaz i sceptrum nad wami.
Nie wasz rozkaz nad moją wolą!
Powziąłem był cudowny o was sen, któregoście
sami, wszyscy razem, nie wyśnili.
Widziałem był plemię wasze zwycięskie i dobro-
dziejskie.

Przez Moskwę chciałem iść na waszem czele w Ca-
rogradu bramy.

Chciałem Europy dobro waszemi rękoma wcią-
gnąć przemocą w puszcę Rusi, — królowej Jadwigi
płaszcz swobody rozpostrzeć po lądach, między mo-
rzami.

Chciałem drzewce chwały waszej wywyższyć nad
wszystek świat.

I oto zajrzałem w ślepią waszemu losowi.
Przyjrzałem się doli waszej.

I pokochałem się w doli naszej.

Jam jeden, przychodzień, ujrzał wszystkę naszą polską niemoc, czego sami, wszyscy razem, nie widzicie.

Ujrzałem pod złotym ryngrafem ranę, którądy ujdzie was krew.

I zapragnąłem poddać wam kordyał ratunku.

Tyś mnie, waszą moc, wyzwiał, synu złotej wolności rozszalały, a jam cię przez katowskie ręce ściał.

SAMUEL:

— Nadymasz się bezsilnym jadem przeciwko mojej potędze!

Jam był u siebie.

A takich, jako ja, prywatnych osób, rzeczpospolita jest ogromna.

Tyś tu — kto?

HETMAN:

— To jest nasz wieczny król!

Prawo nasze, rada nasza, moc i honor, powróż, który nas w naród wiąże.

Tyś jest banita!

SAMUEL:

— Ja? Ze Zborowa, z Rytwian, z Szydłowieckiego zamku, z Oleśnice, ze Staszowa, ze wzgórz moich kurzweńskich, z nad rzeki mojej Czarnej, z lasów moich ku Połańcu jam banita? Cha—cha—cha!

Śmieję się z was!

Gdym we trzysta koni ku Krakowu jachał, podcierając ku osiedlom, gdzie nocował wielki kanclerz, takem się oto z was wszystkich śmiał.

Wielki kanclerz siły polskiej w Sandomierzu, to ja nad nim w Zawichoście,—on w Opatowie, ja w Osolinie,—on do Krakowa w drogę, ja odeń o milę, o pół mili nocleg zakładam.

On do Proszowic, a ja do Piekar.

Po swojej jeździłem ziemi!

A ona pod kopytami mych koni radośnie pojękiwała i do mej duszy śmiechem matczynym mówiła.

Król z za karpackich gór z łaskowości mej osadzony w Krakowie, miał mnie, Samuelowi, zabraniać być pod Zborowem i na staszowskich drogach, gdzie wszystko moje: — połysk Wisły w oddali i sine lasy i łęgi me ku Wiślicy?

Trawy moje młode, w podwiośnia na pochyłych z góry zborowskiej błoniach ku rzece — matce, lasy moje senne kurozwęckie, rytwiański mój bór, stawy moje oleśnickie!

Tam ja wśród nich, w strzemionach, na łęku urosłem...

Tamem wilka imał w ostępie, kordelasem rzezał dzikie odyńce i lotnego ścigał jelenia.

Dom mój, ród mój!

Moja jest ta ziemia polska, moja własna, Samuelowa, na wieki.

Do mnie jednego należy!

HETMAN:

— I moja jest ta ojczyzna!

Do mnie jedyne, taksamo jak do ciebie jedyne-go, należy.

Jam ją tobie wydrzeć musiał ze szponów.

Bom jest urząd ojczyzny.

SAMUEL:

— To też my chcieli bracia trzej wyjść z tej, sko-
roś tu siadł, ziemi i gdzieindziej szukać króla wdzięcz-
nego,—gdzieindziej ufundować zborowski dom. Chcia-
łem w słoneczną włoską stronę obrócić końskie kopyto
i tam zapomnieć o cuchnącej waszej ze mną równości.

Każdego miałem tu czcić, kto jeno polskiem gada
słowem.

Każdy mi pan brat czcigodny, chociażby nie wart
był, żebym go pięścią pchnął.

Każdy nikczemnik, zbir, nędznik, podchlebca, fun-
dujący swój dobry byt na wychwalaniu gromadzkiej głu-
poty, każdy tchórz, chowający się w motłoch, jak w fu-
tro, przed zimnem ostrego męstwa, przed samotnem wy-
stąpieniem, dla tego miał mi być czcigodnym bratem, że
nędzę swojej duszy w polskiej objawia mowie!

Gardziłem nędzą i tchórzostwem w was i wyzy-
wałem was wciąż z pośrodku tłumy na ostre.

Stawiałem moje drzewo w szrankach z wyzwaniem.

Wyście mnie pokonali nie bronią równą mojej,
lecz nikczemnymi powrozami i jakimś waszym sądem.

Prawdę mówisz: gdybym się był znudził do cna
waszą nędzną demagogią padewskiej normy,—waszemi
kupami mazowieckiego mrowia, *viritum* na rozkaz byle
czyj wrzeszczącego,—waszą posturą zleniwiąłą, noszącą
u boku oręż a uciekającą od placu boju...

Byłbym może przejechał się po waszych wsiach
w kozackim moim zastępie.

HETMAN:

— Wyrzekłeś, Coleonie, któremu szatan wyłupał
mózg!

SAMUEL:

— Szlachetnie zrodzone ciało moje miałożby cierpieć tu cudze okrucieństwo, gdzie od wieka Bóg ojców moich nad domem naszym, kuchnią wszystkich w Polsce chudych pacholków, czuwał?

Stara i starożytna familja nasza miałażby być bezkarnie zakrwawiona od miecza katowskiego.

HETMAN:

— Musi być między nami Prawo!

SAMUEL:

— Jam szukał prawa mej duszy między wolnemi kozaki.

Rwałem ich za sobą w dzikie wyprawy po lądzie i po morzu.

Tureckie galery na morskim odmęcie czajkami osaczałem.

A żem nie schlebiał tłuszczy, z tego widać, że mię chciała, piasku za pazuchę nasuwszy, z dłońmi założonemi na grzbiet puścić na Dniepru piany, żebym popływał samotnie.

Zdychałem z mołojcami tymi z głodu, po kilka dni jadłem jeno żołądź, jeślim ją znalazł, zdobyte w dzikiem polu jelenie rogi i kopyta, co od kilku lat leżały.

Prawdę mówisz: kochali mię mołojce za wolność moją.

Węgierski Baalu, co się panem nazywałeś tak chętnie. choć nie byłeś panem z rodu, a wszystko sobie chciałeś przywłaszczyć,—ja ci nie dam wolności naszej prastarej!

Gdyś głowę moją uciął, zdało ci się, że moją moc zakopiesz w ziemi.

Nie ściałeś wolności polskiej!

Twardy jest i bardzo gruby jej kark.

Groźbę cisnąłeś w kraj, że jeśli trumnę moją na sejm u Warszawy przywiozą bracia i w kole rycerskiem wystawią, — w Wisłę trumnę rzucić każesz...

Otóż ci mówię, obcy tyranie, że ani ziemia rodzinna mię nie pochłonie i w sobie nie rozpuści, ani Wisły woda żywa z ojczyzny mię nie wyniesie i nie wymyje.

Na brzegu mię swym wystawi woda, bom ją z małeńkości miłował i rączynami pacholęcemi w nią plaskał.

Jam jest wieczny w ojczyźnie!

Na bystrym koniu mój trup upiorem po niej przejeżdżać będzie hardo, szumnie, szatno, strojnie, z tętetem, który zagłuszy każdy nie-mój głos, z gromkim okrzykiem.

Wieczny będę miał poczet chudych pacholków, orszak hajduków, gromadę zborowskich sług.

Tak, jakem wielkiemu kanclerzowi zajeżdżał drogę, tak, jakem każdą polską drogę swoją uczynił, taksamo, póki zechcę, czynić będę.

Każdą polską sprawę — swoją uczynię sprawą.

W każdej radzie zasiądę, — ja wygnany, — i jeśli przeciw mojej woli toczyć się zechce, splącę ją, zmieszam, zniweczę, w kłótnię jednostek, w war ambicji, we wściekłą zwadę zamienię.

Tam, gdzie ma wola, obrócę krok.

Bo moje jest to królestwo!

Po za niem szukać będę sojuszu.

A jeśli zajdzie potrzeba, przeciwko niemu przywiodę obcego władcę.

Ty zaś na mnie, na Samuelowego upiora, nijakiej nigdy rady nie znajdziesz.

Bo jam jest, jako wszystka Polska olbrzymi.

Aż przyjdzie moja straszliwa noc w więzieniu, aż przyjdzie mój całonocny płacz do samego świtania...

KRÓL:

Śni ci się w trumnie podły sen.

Nadejdzie kiedyś inny, nie twój czas.

Jam tu był dostał, oprócz doczesnej korony wieczysty indygenat.

Ziemia ta moja jest także!

Szczerbym nie przydał polskiej tarczy.

Stałem u Gdańska na złotym piasku kaszubskim i piersiami wciągałem srogi wiatr morza.

Siadłem na wasz koń, szablę wziąłem, nabiłem armatę waszą ognistemi kulami i ostrzelałem granicę na Rygę, Połock, Psków.

Zajrzałem przez płonące zamki dębowe w najgroźniejsze od początku świata oczy, w okrutnika oczy wielkoksiążęce.

I zląkł się karpackich oczu moich.

Alem ja jeden drugą sprawił naszą, polską rzecz.

Przyłożyłem pod Pskowem ucho do niezmierzonej ruskiej ziemi i wyczułem, wysłuchiłem mądrość wielkokniaziową, — cnotę Iwana Szujskiego, posłuszeństwo dla ojczyzny Szeremetjewa, milczące aż do śmierci, jako ta ziemia nieżywa.

I inny wtedy w moim orszaku duch, obok ciebie, rycerz polski nowy na koń siadał.

(Zamilkł król. Na mieczu ręce wsparłszy, w zadumie głuchej spoczął).

HETMAN:

— Samuelu.

Chustę ostatnią, od cara perekopskiego dar, we krwi swej namoczyć kazałeś, synowi przesłać pamiątkę. A syn, szaleństwo głowy twojej po obcych nosząc ziemiach, pod moją przecie przyszedł buławę i u mojego walczył boku w kłuszyńskim palu.

Ucisz się duchu!

Przez miłość syna rodzonego.

Niechaj przepada waśń zborowska!

Jam musiał.

Bez miłosierdzia hetmańską mocą wbijałem wywołańców na pal — Karwackiego, Kackiego, — ćwiertować kazałem na lwowskim przedmieściu Skipora i Borowskiego kniazika, ścinałem banitów, gdy się w kupy zjeżdżali i przeciwko Rzeczypospolitej związani, darli mienie obywatelskie.

Jestem żołnierz ojczyzny...

SAMUEL:

Jużem cię dwakroć pchnął oczami...

Pierwszy raz, gdyś do mej izby z wielkim kanclerzem przychodził, — szablę w ręku niosąc gołą, kiedy ja miał łokcie w postronkach.

Drugi raz w furtce tej, którą na śmierć się wychodzi.

Idź odemnie!

Moja ostatnia noc!

Leżałem na ziemi krzyżem aż do godziny świtania.

Łamałem w ciągu nocnych godzin ręce bezsilnie.

Strwożyło się ciało moje w tę noc i duch się we mnie po raz pierwszy przeląkł, — nie przed śmiercią, bom w bitwach stokroć bywał, lecz przede śmiercią haniebną.

Czyli ty wiesz, co słowo takie w sobie mieści?

Pociło się ciało moje, nieustraszone w zwadach, w walkach, w turniejach, w bitwach tyłu.

Darmom je tysiąckroć obcierał.

Skrucha zewnętrzna runęła na serce moje, — podobnie jak burza sroga pada na lasy samowładne na pola samym sobie kwitnące, na łąki bujne.

Jakowyś wielki płacz, na życie całe jeden, skruszył skaliste serce moje, porył je w skazy i rozsadził.

Lały się z oczu moich łzy, a wypłynęło ich tyle z oczu osłепłych od boleści, aż podłoga w izbie więzienia mokra się wszystka, złana stała i ciemna.

I zadumałem się był, że tyle może być boleści w duszy i łez w twardym człowieku.

Do ostatniej wytoczyły się ze mnie wszystkie na wzór tej krwi, co do ostatniej kropli wyciekła.

A we łzach toczył się ze mnie żal za ciężkie, straszne uczynki moje.

Och, na dnie serca zdruzgotanego poruszona żądzo!

O, podeptane przez ludzi, zepsute samochcąc—*jam jest!*—które samo siebie kąpało i myło we łzach!

Dusiły mię czyny moje dawne za gardło, leżały wokół mnie na ziemi.

Po stokroć, po tysiąckroć w tajnię sumienia zagłędały.

Po stokroć serce imał wspomnienia krzywy szpon. Aż zwolna zelżał, zmałał, ustał żal.

Stało się w sercu ciszej.

Ktoś pod głowę upadłą spokój podsunął, jakgdyby rękę ojca czułą.

Zdało mi się w onej minucie, że przed śmiercią w onym głębokim umarł żalu.

Zwidziało mi się, że zakwitnę na podobieństwo gałęzi bzowej w rytwiańskim sadzie, kiedy ją deszcz niebieski zlał, i kiedy zamiast czarnej pławiny stała się pieśnią żyjącej duszy.

Zwidziało mi się, że splukał z naju, — z ziemi tej i ze mnie, którzy jedno jesteśmy, — wylew mych łez proch zestarzały, brud starodawny, z którego sobie uszył delią, — i że oto wyjdę nagi, wydziedziczon, radosny banita, nowy do cna patrzeć, na blask oleśnickich stawów, na fale co się gonią po wczesnych żytach, słuchać pokrzyku czajek nad mokremi łąkami...

A wyście na moją straszną skruchę i na przedziwną moją chwilę łaską polską nie wejrzeni.

Wyście mnie wskrzeszonego na duchu nie wypuścili na świat, lecz trzymali w izbie strasliwej.

Wywlekliście mnie, — bracia, — na pniak, gdy był oczyszczon, we łzach, żywot rodzących, skąpany.

O, katowie!

Słudzy „prawa“ — gdy byłem obmyty z samego siebie i hyzopem pokropiony, a gotów w ciało swe przyjąć czyn niezmierzony, trud strasliwy odkupienia.

Poznałem wtedy, kto wy jesteście!

Wówczas to nowy gniew, gniew wyższy, iście szatański we mnie się wzniecił, spłonął, rozpętał.

Tyś go zażęgl!

Tyl

Nie król, dla którego byłem kłusującym psem, zgładzenia jeno godnym.

Nie kanclerz, szkolarz padewski, smołę chudopacholską pochlebne słowem rozgrzewający, żeby się za nim naokół wlekła, któremu zawadzałem w jego podróży do śpichlerza dostojęstw.

Lecz ty, boś przysięgłem sercem czynił, i w cnotę swego postępku bez żadnej wierzył rachuby.

W oblicze moje wtedy, gdy tamten z kościoła wyszedł i ze złożonemi biegł dłońmi, strwożony, czy mu przebaczę,—tyś spokojnie, zimno patrzył.

A nie zobaczyłeś nic.

Szał moich oczyma dotknąłeś.

Dołmę ze mnie, na blance stojąc, skinieniem zewlec kazałeś, żeby katowi sposobniej było dzieła dokonać.

A kat, pomnisz, kat rzucił miecz!

Ujrzał może czystość moją i do kościoła uciekł w trwodze śmiertelnej od pniaka...

(Słania się hetman. Chwieją się jego nogi stare. Gną kolana. Splatają się i łamią ręce. Runął na ziemię. Wyciągnął dłonie z jękiem i nogi straszego Widma objął szlochając. Do butów we krwi staplanych usty się czołga, usty przywiera).

Poznał hetman w krótkim ocknieniu, że ustami ziemię całuje, a dłonią próżnię objął. Westchnienie ucieszonemu sercu ulgę przyniosło, a nowy, głuchy sen w dal niesie samowiedzę.

Kędyś daleko...

Namiot bogaty w polu, pod Moskwą na górze.

Wokół jałowiec dziki rośnie. Wśród niego droga błotnista się wije. Widać w oddali miasto, opasane wzrębem z drzewa, daleką i szeroką ogrodą. Wznoszą się na wierzchu parkanów ostre wieże i uzbrojone palanki. Nad Nieglinną rzeką połyska białymi ścianami z kopanego kamienia Cargorod i jeży się groźnymi wieżami.

Nad Moskwą rzeką sterczy dziki Krymgorod, — główny zamek. W pośrodku miasta, osobnym obwiedziony murem, — Kitajgorod. Lśnią na słońcu kopuły świątyń murowanych, złocistą krytych blachą. Widać ciemne, o wysokich świetlicach dwory magnackie. Jak przyłbica zawarta, czernieją tam Frołowskie wrota, wiodące na „Łobnoje miasto“, wzgórze czerwone od krwi.

Sto dzwonów w Moskwie bije.

Spełnił już hetman wszystko swe. Po rozkaz wraca do króla pod Smoleńsk. A gdy przez miasto Moskwę w drogę swą jachał, zabiegał mu lud czarny drogę, —

który latami od wojny tyle wycierpiał, a pod hetmańską buławą ciszy zaznał, — „mirem“ go, w pas kłaniając się, żegnał a krzyżem błogosławił. Prosili go mężowie rady, żeby nie odchodził z miasta i ażeby cugle siły a prawa w dłoni trzymał.

Teraz za miastem daleko rozbili namiot w polu i wielka ciżba ostatniem go żegna słowem.

W złotogłowych dołomach, w czerwonych z aksamitu kopieniakach, szubami sobolemi podbitych, stoją tłumem bojarowie, okolniczy, dworzanie. Na głowach mają szłyki białe, rysie, a przez każdy szłyk dwa łańcuchy, — na nogach buty białe. We dwa szeregi stanęli u wejścia namiotu. Cudne za nimi konie pod kapy złotolitemi i pod siodłem szkarłatnem.

Za dworzanami strzelcy i straż zbrojna w berdysze. Dalej olbrzymi lud...

Zamilkły trąby. Ucichła wrzaskliwa muzyka. Stały chetmańskie chorągwie. Do wnętrza namiotu wszedł książę Feodor Iwanowicz Mściśławski — sam.

Giermak na nim biały, haftowany, na ramionach wielka delia.

Oczy kniazia ciche, mądre, głębokie,

Patrzy długo w hetmańskie oczy.

Wstrząsnął głową kędzierzawą.

Ręce złożył na piersiach.

Rzecz:

— Och, ty cny jesteś, Stanisław Stanisławowicz,

Jaśnie wielmożny pan hetman Żółkiewski!

Oto wyszedł wszystek prawosławny lud,

Na dachy wstąpił, z okien wygląda,

Krzyczy ze szczerej, z moskiewskiej piersi,

Pozdrowienie ci śle, żal, pożegnanie,

Krzyżem cię żegna i w goście prosi,
W goście ciebie prosi, żebyś wrócił znów
W rozwarte wrota Moskwy macierzy
W Kremla złotego pałac wysoki...
Prosi ciebie w goście, obcego wroga,
Polskich najeźdźców wodza, hetmana...
A na wysokiej wieży kremłowej
Bije dzwon wielki, car wszystkich dzwonów
Żebyś w drodze słyszał żal, pożegnanie,
Żebyś w drodze pomnił, że ci się kłania,
Nisko ci się kłania prawosławny lud
I za służbę twoją śle ci pochwałę.
Służyłeś ty sprawie na Rusi dobrej,
Nie jak cudzoziemiec, nie jak chytry wróg,
Lecz jak przyjaciel, mądry doradzca:
Przeciw łotrom ostry przypasałeś miecz,
Przeciw rozpustnym wstąpiłeś w strzemię,
Mocną prawicą uśmierzyłeś zgiełk,
W otworzone zamki wszedłeś bez gwałtu,
W dworzyszczu carskiem siadłeś bez pychy.
Skloniłeś czoło przede czią Rusi,
Straszną jej klęskę uszanowałeś,
Przed patryarchą zgiąłeś się nisko,
Zrzucone-ś z tronu cary osłonił,
Szablą swą krótką mocno-ś zastawił
Cara Wasyla strzyżoną głowę.
Stały skrzydlate twoje chorągwie
Na dziewiczym polu stały błyszczące,
Ostre trzaskając w pochwy mieczami.
(Niecierpliwy jest polski najeźdnik...)
A za Moskwą rzeką pan Sapieha stał,
Niełacne panię, dumny swawolnik,

Tuszyńskiego carzyka pułkownik srogi.
Groził zasie pułkownik pan Sapieha Jan,
Że zwali zamki białokamienne,
Że wywróci pałac Kremła złotego
Że nie przepuści moskiewskim mężom,
Starcom, ni dzieciom, ni dziewczkom młodym.
A wyjeżdżasz ty, panie hetmanie,
Na koniu wronym, srebrnostrzemiennym
Przeciw pana Sapiehy wojska męznego.
A wyzywasz ty pana Sapiechę
Na rozmowę polską, tajną, sekretną.
Jaśni panowie, wodzowie dzielni,
Dosiedli koni w pośrodku pola,
A pułkownicy w giętych koliczugiach
Krążą zdaleka dokoła wodzów.
I wysokie twoje żółkiewskie słowo
Pokona hardą złość sapieżyńską!
Sklonił się tobie Strusiów buzdygan
I wyciągnął precz na twoje słowo
W siewierską ziemię Sapieha krwawy.
Pierzchnął spod Moskwy Tuszyński złodziej.
Sława tobie, hetmanie, panie Żółkiewski!
Od wszystkiej ziemi pokłon ci niosę,
Iż niema w Rusi szalbierzów śmiałych.
Ja kniaź najstarszy w Ruryka rodzie,
Między książęty przedniejsza głowa
Kłaniam się nisko — weź pokłon ziemny —
Dla cara naszego, dla Władysława
Żigimontowicza, księcia jasnego
Weź patryarszej pokłon pokory,
Metropolitów, arcybiskupów,
Archimandrytów, biskupów cichych,

Od ihumenów wszego soboru,
Od dworzan starych wszelkiego stopnia,
Od okolicznych, stolników, strapeczych,
Od głów strzeleckich, przykaznych ludzi
I od wszey Rusi dzieci bojarskich...

HETMAN:

— Przyszedłem tu świadectwo złożyć przed wami
o Polsce.

Ninie odchodzę.

Czołem Rusi świętej za gościnę!

Przypatrzyliscie się pilnie grzechowi naszemu
i cnocie naszej.

I oto splotły się ręce wrogie w mocnym uścisku.
Pokłon wasz odniosę królewiczowi.

KSIAŻE MŚCISŁAWSKI:

A my ciało rozszarpane Hryčka Rostrygi
Na wysokim, na szerokim stosie palili,
A my popiół jego ciemny mnicha oszusta
W szmatę, którą brud się zbiera, pilnie zbierali.
I w armatę popiół jego podły nabity
Wielkim wyciorem puszkarskim zaszpunktowany.
A wystrzelą puszkarze popiół Gryszki Rostrygi
W zachodnią stronę, w stronę daleką,
Gdzie za siódmą górą, za siódmą rzeką
Polska kraina szumi sejmami.

HETMAN:

Słyszałem głośny strzał, mocny głos waszej ziemi.
I przyszedłem na strzał przez ciasne kłuszyńskie
pole od polskich wolnych ludzi prawdę wam rzec.

MŚCISŁAWSKI:

I ugościli my ciebie chlebem i solą,
Na pienistego miodu ruskiego czarę prosili.
Napoili my konie twoje w Nieglinnej rzece,
Prowadzili my je w carski podwórzec
I na czerwony plac, na Łobne miejsce.
Bo na Łobnem miejscu od krwi czerwonym
Nasze dzieje tajemnicze wsiąknięte w ziemię...
Wychodził groźny książę Iwan Wasilewicz
Orleми patrzeć oczami, jak topór świeci,
Jak spada głowa starobojarska,
Jak wsiąka w ziemię stara swoboda.
A kiedy ściągnął jeno brwi sobolowe,
Drżał potomek zacny książąt udzielnych,
Drżał bojarski rząd i dworzanów koło
I bogaty gość kupiec swobodny.
Po kamiennych schodach wyciekała krew,
Siadła na progu zdrada okrutna.
O północy szedł opryczeniec chwał,
Do małżeńskiej górnej wchodził sypialni...
Łamał groźny pan Iwan Wasilewicz
Ostatnią piosnkę o dawnej doli,
O dawnej chwale, dawnej równości.
Zapłonęła Ruś ogniem czerwonym,
Głucho szczękneła o pniak siekiera,
Niszcząc w ojczyźnie rody odwieczne...
Ostrzygł srogi car Borys Godunow
Ojca swojego czcigodną głowę,
Zamknął ją w ciemnym lochu klasztorным,
A rankiem ściął ją na pniaku hańby.
Porwał mi srogi car Borys Godunow
Siostrę rodzoną, dziewicę jasną.

Przemocą wtrącił w mury klasztoru.
Porwał mi zięcia car Borys srogi,
Jasne mu oczy kazał wyłupić.
A ja z Ruryka krwi ród swój wiodę,
Z udzielnych książąt jestem szeregu
I mógłbym zasiąść na carskim tronie,
A byłem chłopem groźnego cara
I chłopem stał się każdy dworzanin.
Z senatorskiego polskiego koła
Przychodził do nas pan bardzo możny
Dumny pan Mniszek, rada królewska.
Stała go do nas nie wasza władza,
Doczesna władza, królewska, radna,
Lecz go wysłała żądza dusz waszych,
Ażeby gniew nasz wyzwał na rękę.
A chciał pan Mniszech ziemianin polski
Na chłopskich barach usiąść okrakiem,
Na chłopskich barach udzielnych książąt,
Co się pańskimi stali chłopami,
A stopy wesprzeć w uralskie skały
I w lodowate poglądać morze...
Przybyła do nas wasza niewiasta,
Wielce nadobna polska dziewczica,
Bo zapragnęła dusza jej czysta
W dalekim mieście nad Wisłą rzeką,
Żeby na szczycie carskiej wierzchnicy,
Na majestacie usiąść złocistym,
Na krześle pańskim w srebrze kowanem.
I zapragnęła cudna dziewczica,
Żeby zamczystą kniaziów koronę,
Którą Jarosław w mądrości począł,
Którą Monomach kamieńmi zdobił,

A którą mocny car Wasilewicz
Skuwał obuchem swego topora
Włożyć na swoje dziewicze włosy.
I zapagnęła cudna Maryna,
Żeby się odziać dołomą carską,
Co też perłami gęsto usiana,
Wzdychań szafirem czarnych wsi ruskich
Przez bardzo długie wieki sadzona.
I zapagnęła cudna dziewica
Na palec wsunąć pierścień z rubinu,
A w rękę ująć sceptrum wszechwładne.
I stała się wasza cudna dziewica
Dziewką każdego łotra Rostrygi.
Za nią przyjechał siepacz okrutny
Lisowskoj pan junak i Sapieha Jan —
Srogi wilk, Zborowski, sokół bujawy,
Adam Wiszniowiecki książę, zdrađny Zarucki,
Rożyński pan, kamienne ramie,
Narymuntowicz książę, Tyszkiewicz Samuel.
I poczęli rąbać plemię zrabane,
I poczęli palić wsie, zamki, dwory,
Pochwy pałaszów odrzucili precz,
W wielkie doły wałą pobitych ludzi,
Kopce nad nimi wznoszą wysokie.
Pan Lisowski pędzi aż pod Astrachań
I pod szerokie Kaspijskie morze,
A zalewa krwią Miedwieże brody,
A obryzga krwią Troicką skałę,
W cerkwi Rostowa naród morduje,
Przez Kostromę, Jarosław, Uglecz, Wołogdę
Dopadł lodowych morza wybrzeży,
Gdzie się z bałwanem zamróz mocuje,

Gdzie góry lodu ze zgrzytem, z trzaskiem
Wojnę ze sobą toczą na głębi.
Gromią polskie chorągwie Wasyla cara,
Palą zamki dębowe, ludzi sieką w pień.
A gdzie stały miasta, wiatr dmie perzyną,
W lochach kości krwawe oplakuje deszcz...
Ubroczyła się szabla do rękojęści,
Rąbiąc ciało Boga w ludzie nieszczęsnym...

HETMAN:

Ubroczyła się szabla do rękojęści
Rąbiąc ciało Boga w ludzie nieszczęsnym...
Spracowało się szalone ramię.
A obłąkana dłoń ustała z trudu.
Krwawy dym wzbijał się przed moje oczy, kie-
dym tu do was szedł.

Pod kopytami mego rumaka jęczała głucho spu-
stoszona ziemia.

Książę tego narodu, w którego sercu mieszka rada
i głęboko sięgający czyn!

Książę, którego serca nie przejęła żądza korony!

Niech prędko w ziemię wsiąka krew przelana!

Niech kłosa, trawy i święte kwiaty rodzi.

Zapach niech płynie na miejscu, gdzie od skonu
ucichł jęk.

Kwiecie na kopcach usiądzie, w których spoczęły
kości krwawe.

Pieśń w ramionach poniesie bezdrożem dalekiem
głowę junacką ze zgastłymi oczyma.

Podanie w dzbanek święty zbierze matczyne łzy.

Lecz twoje oczy nie do łez się zrodziły.

Ręce twoje nie na to, żeby je rozpacz łamała.

Ty zacznij nowotny trud!
Ja trud nowotny zaczęń!
Młodą znowu niechaj się stanie dusza twoja, jako
dusza pasterza Dawida, wstępującego na ścieżkę pańską.
Młodą niechaj się stanie dusza moja.
Otwórz wrota przed ciżbą zawarte.
Niech oddech, pośpiech, gwar, płacz i śmiech ży-
wota nowego wstępuje w progil

MŚCISŁAWSKI:

Och, ty cny jesteś, Stanisław Stanisławowicz,
Jaśnie wielmożny pan hetman Żółkiewski!
Patrzyła dusza moja, wzdychało serce,
A patrzyła dusza moja w najcięższą dobę
I w ciemne moje noce pilnie patrzyła,
Jak za siódmą górą, za dziewiątą rzeką
Złota wolność wasza szumi skrzydłami,
Złota wolność wasza, lackich prawda dusz...
A wstawałem ja o ciemnej jutrzni
I łamałem ręce, mur tłukłem głową, —
Czyli znajdę w Polsce, Rusi zbawienie.
Zgiął się w pałąk grzbiet cięciwą zgięty,
Wielkie na czołach guzy wyrosły
Od pokłonów ziemnych, od bicia czołem, —
A zawždy niska jest ta ruska ziemia,
A zawždy dzika, lasem zarosła,
Zawždy zlana krwią, ogniem spalona.
Więc głęboką dumę usnułem w sercu:
Pójdę ja w zachód szukać nauki,
Nie przestraszę się polskiej elekcyi,
Ani rozgwaru lackiego sejmu,
Nie przestraszę się namów koronnych

A przypatrzę się, jak żyją wolni,
W dalekich stronach, w ziemiach odmiennych,
Jak uczą młodzież, budują miasta,
Stawiają gmachy, kunszty kształtują.
I serce moje dumę tę chowa,
Z czarnej gałęzi pąk znów wystrzeli
W ruski poranek, chłodny, kwietniowy,
Powieje polem wiatery z zachodu,
Ubarwi pole kwieciem radosnem.
Och, tęskni dusza do szczęścia ziemi!
Siądzie Zygmuntowicz na wysoki tron
I okoli go wierny ruski sejm
I otoczy go serce ruskich rada,
Ludzi prawych dusz, podźwignionych czoł...
A po miastach tryśnie światło nauki,
Nie będzie wiedza grzechem na Rusi,
Za czytanie ksiąg nie zapłonie stos...
Dźwięknie znowu topór w lesie drzemiącym,
Dźwignie znowu sioło na popielisku,
Zabuduje miasto kamieniem białym
I ogrozi zamek wzrębem dębowym...
Lecz zaprzysiąż, jasny panie hetmanie,
Prawdę o Polsce z serca wyjętą!

HETMAN:

Książę! Miałem tu przeraźliwy sen...
Pragnę wyrwać ten sen, odeśnić wszystkie zjawy
stare, w przepaść je strącić nicości!
Wiem ja o nowym polskim śnie...
Krąży nademną w mrokach rozległych, w głębi-
nie duszy mojej zaległ...

Słyszać li tylko echo po roście piosenki jego no-
wośpiewanej...

Jakże sen zmusić wolą żelazną, żeby się stał?

Taki to trud o aniele ojczyzny powieść ogłaszać,
jak wolą z nocy zwoływać sen!

Oto me słowo!

Ujmę miecz, nie pożałuję zdobytej sławy, nie za-
płacę za szczęściem dobrego bytu, będę rąbał z ra-
mienia wrota przemocy!

Wyrwę sztylet i drzeć nim będę larwę oszustwa.

Jest w orszakach ludzi polskich geniusz lotny,
jest od przemocy zamęczona czcigodna wola.

Są ludzie nowotnej Polski o duszy niebiańskiej,
motyle cudnoskrzydłe rodu człowieczego, kwiaty cu-
dowe w rubasznem pustkowiu.

Przez trud tych dusz w Polsce samotnych przy-
sięgam, iż wydzwignie się anioł jej wewnętrzną mocą
swoją z cielesnej poczwary!..

Kędyż to koniu, w jaki kraj *wiuga* cię straszna poniosła?

Noc jeszcze wkoło.

Ledwie szarzeje świt.

Gna polami miecielica.

Uderza w lasy taran wichru.

Schyla się z trzaskiem puszcza jodłowa.

Śniegu na niej łapy olbrzymie zamieć poddyma.

Wzdryga się rozległe pole i w tumanie śnieżnym leci.

Kurniawa powleka świat.

Kopie się w głębokich zaspach zdyszany hetmański koń.

Sam jeden mknie bezdrożami.

Staje strwożony, z grzywą rozwianą w świstach polnych i w pustkowie leśne rży. Rżeniu końskiemu wiley puszczańsey jakoby echo wtórują.

Starą krew wodza ścina mróz.

Kurzawa śnieżna oczy zaślepia.

Chichoce z jeźdźca chachaica, w otchłani mórz lodowatych poczęta, w błotach zamarłych wychowana.

Wichura niesie daleki gwar.

Stanął w pustce rumak zdyszany...

Błądne w dali zjawiny śniegami brną.

Posępne widziadła kolumn człowieczych, legie, sapieżyńskim tropem w północ pędzone.

Golone w pół głowy ich szmata skrwawiona okrywa.
Staplane sukmany od burzy chronią grzbiet.

U rąk, u nóg dzwoni żelazo.

Krucy nad nimi kraczą czarni i chytre wrony kołują stadem.

Wyją na nich wilki w borach.

Skostniałe oczy legionu patrzą się w sępa mężczyzn, co w chmurach nad nim leci.

W ten wzrok nieustraszony zapadła się wola święta.

W lica wychudłe, żółte, nalane — pogarda cierpienia.

Jak jeden człowiek idą tłumem, ciągnąc świat.

Dojrzeli jeźdźca we mgłach...

Okrzyk, tensam, co z lochów cyrku Dawida witął,
pozdrowił serce upadłe.

Zsiadł hetman z konia.

Pobiegł ku nim...

Padł przed braci legią z rozkrzyżowanemi ramionami na twarz.

Leży w szlochach przed widokiem pohańbienia
ojczyzny, w jęku piersi łamiącym.

Zgrabiałe palce w śnieg się wbiły.

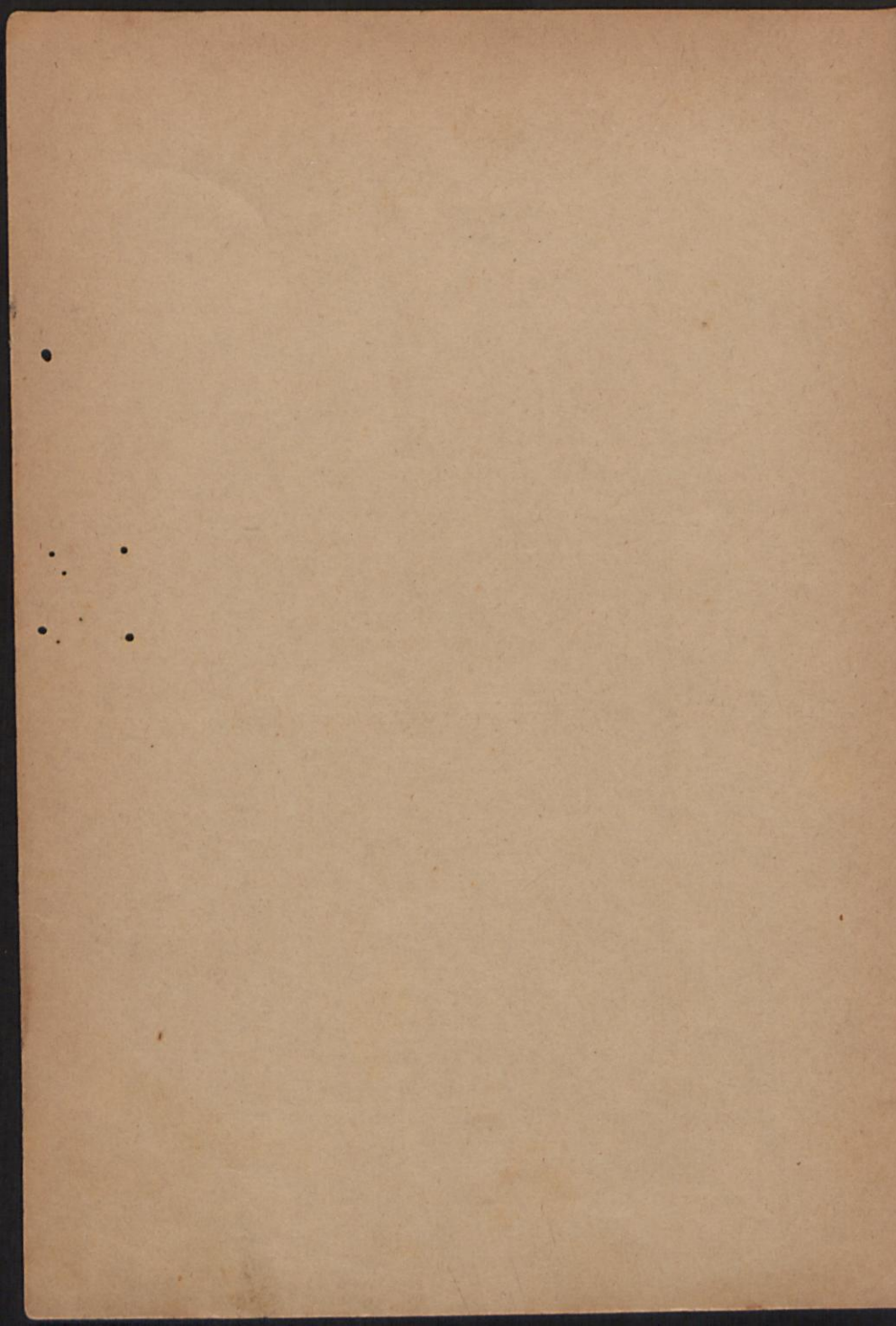
Serce umiera z żalu...

Aż oto nagły błysk gniewu rozdarł mrok ducha.

Prawica główni miecza dopadła.

Senny krzyk — *nie pozwalam!* — który zmora garścią dusi, szarpie się z piersi w ostatnim tchu...

EPILOG.



Janina

Stał tabor bezsilny w czwartym miejscu wytchnienia.
Nie chciał, gdyż nie mógł iść.

Lecz, mało wiele mieszkając, rzuci się ciżba do
niesprawy.

Natychmiast, w temże miejscu, ledwie wytchnąwszy, chcieli panowie odzyskać wszystko dobro, ze skarbników przez ciury skradzione.

Tu na tymże placu chcieli karać drapieżność rabusiów.

Atoli większość rycerzy uszła już była z obozu, albo od ciosów nieprzyjaciela poległa.

I stało się, że ciurów więcej już było, niżeli rycerstwa.

Z głodu, z pragnienia i z zemsty oddawna narosłej zaczęli znowu ciurowie żakować, rznąć skóry wozów i wywłóczyć dobytek, pętlą imać na arkan z zasadzki walczących na szanću rycerzy, konie chwytając, objuczać je mienia ostatkiem i w noc czarną uchodzić.

Czując nad sobą sąd za Dniestrem i śmierć przedką, poczęła tłuszcza wrzeć szaleństwem i bezrozumnie pędzić w rozsypkę.

A skoro hetman polny sprawił tabor i sił ostatek wyteżył, żeby dalej uchodzić, swar szalony panów z ciurami nie dał rządu dokonać.

Rycerze w kupę się zbili w przednim kącie taboru, — ciurowie w poślednim.

Uszedł spodkolasia i chyłkiem z obozu zdrajca do wroga i sprzedał za pieniądź wieść o tem, co się dzieje w taborze, Kantymirowi.

Więc, jako skrzydła obłoków gradowych, poczną się rozciągać, rozwłóczyć, wytężać nieprzyjaciela zagony.

Czekał wróg nieomylnie, że ludzie w obozie jedni drugich czekanami wyrąbiają, strykami wyduszą, jedni drugich szablami z ramienia rozsiekają, jedni drugich porzną znienacka nożami, jedni drugich włócznią przebijają.

Aż o godzinie sobie wiadomej zacznie wróg bić ze strzelby, z janczarek, z samopałów w tył taboru, w spieszony lisowski ostatek i w polnego hetmana wytrwałą ochotnika chorągiew.

Im bardziej się wzmagala natarczywość napaści, tem okrutniej bestwila się wewnętrzna wrzawa walki w tłuszczy oszalałej.

Ten i ów z rycerzy, spracowany niespaniem, chodem, bitwą i dziełem, ogarnięty paniczną rozpaczą i pozbawiony rozumu, wypadał w noc z rzędu wozów, gnał ku Dniestru, między staborzone, czyhające na zdobycz tłumy wołochów.

Najwyższy wszczął się tumult.

Huk strzelby i samopałów.

Tętent koni, ze stepu na obóz przypadających.

Ocknął się kanclerz ze snu twardego.

Siadł na posłaniu i rozważał — sen-li to jeszcze?

Usłyszał za namiotem krzyk, żeby zmniejszyć tabor wozów i małą kupą uchodzić.

Poznał Marcina Kazanowskiego głos.

Usłyszał inny krzyk, żeby wszystko porzucić i komunikiem, co siły w koniach, gnać do rzeki.

Usłyszał trzeci krzyk, żeby wozy zostawić, zsiąść z koni, konie sprzedać, czyli zbatożyć, i poza końmi, jakoby za taborem, odstrzeliwując się iść do kraju na los. •

I posłyszał hetman w krzykach tych, zrozumiał trzeźwo, że to już złamane jest wszystko i że nadchodzi śmierć.

Zdrętwiało jego serce, wzniosło się od modlitwy i wzmogło.

Wstał z łoża, — szablę przypasał.

Wdział kołpak.

Wyszedł.

A był już obóz rozerwany.

Tatarzyn łańcuchy wozów tam i sam rozrąbał, •
w tabor się włamał i w wyrwach siekł się w pałasze z obroną.

Ze wszech stron tworzyły się dziury w zaszczycie.

Ci, co jeszcze kolas bronili, padali od miecza, inni w stryki wołochów.

Najśmielszych rąbało ostrze na śmierć, upadłych tratowały kopyta pędzących bachmatów.

Kantymir uderzył teraz tysiącami i zbierał rozbitych wojskiem, jak ptaki siecią.

Znalazł się kanclerz z hetmanem polnym w przedzie taboru.

A koni przy nich jeszcze trzysta.

Bokami końskimi się zwarli i tamę postavili nawale tatarskiej.

Przeciw nim wszystka siła Kantymira.

Powtórnie ozwie się rada: — wszyscy z koni!

Konie batować!

I posłuchali wszyscy, jako rozkazu.

Kanclerz, zsiadłszy ze swego, ręką mu kark przez chwilę gładził...

A wraz rozparł się w nogach starych, szabli dobył, przebił nią bok i serce konia drogiego z mocą dawną, — na znak, że nie będzie uchodził.

Padł wierny koń.

Na przednich wsparł się nogach i zarżał ostatni raz waletę panu.

Lecz już nie spojrzał pan.

Już go nie słyszał.

Szedł w swoją daleką drogę.

A szedł w gronie coraz mniej licznem na kilkoro strzelenie z łuku.

Syn przy nim i towarzysze wybrani, — dusze polskie.

Kto jeszcze konia mógł dopaść, w noc uchodził.

Aż zostało towarzystwa dziesięciu mężów: Kazanowski Marcin, Bałaban, Żółkiewski Łukasz, Potocki wojewodzie, Fereńsbach, Silnicki i Strzyżowski rotmistrze, Maliński, Kurzawski i Złotopolski Abraham.

Syn hetmański jedenasty, hetman polny dwunasty, kanclerz trzynasty.

Tak we trzynastu, niedobrej liczbie, w odważną puszcza się drogę.

Prosil go towarzysze, żeby na koń siadł i uchodził.

Konia pojmanego z taboru syn mu przywiódł.

W milczeniu odtrącił strzemie, — przydając, — że miło mu będzie razem z takimi umierać.

Spojrzał po hufcu i nie dostrzegł nikogo z tych, co odeń odebrali przysięgę, że z obozu nie ujdzie.

Gorzkim się śmiechem zachłysnął.

Z nocy na idących runęła wielka wojsk fala.

Zawyją w szaleństwie radości tatarzy.

Ujrzy hetman przed sobą, daleko, w blasku kagańców, — w łykach syna jedyne go, jak go na uźdźnicy konie wleką po ziemi.

Więc pocznie się z zastępy wrogów sieć sam, — na śmierć, — za imię polskie.

Ciosy w boju padają na głowę, na piersi i na ręce.

Jeden i drugi napastnik od jego szabli na placu pozostał.

Odrąbał dziki z Azjej barbarzyńca w ramieniu rękę z szablą wrośniętą w dłoń.

Odsiekl ją, jakoby gałąź od pnia.

Padło walczące ramię, co sławy polskiej nie puściło z dłoni.

A ściał inny wysoką głowę.

Zleciała, jako dla wilków przynęta, żeby się nad nią zabawili, załoga bezpieczeństwa Rzeczypospolitej, z granic jej wyniesiona, — iżby dalej spać mógł naród, — ostatni dar dla ojczyzny, i harde skwitowanie panom Potockim ze zniewag odbioru.

Porwał ją trzeci żołdak, wbił na spisek ku wiecznemu postrachu i czci polskich pokoleń.

Krew poplątanemi strugami drzewce wysokie oplotła.

Zasnęły oczy zniechęcone.

Przed namiotem głowę wroga Iskiender basza wystawi.

Padyszachowi w darze ją pośle.

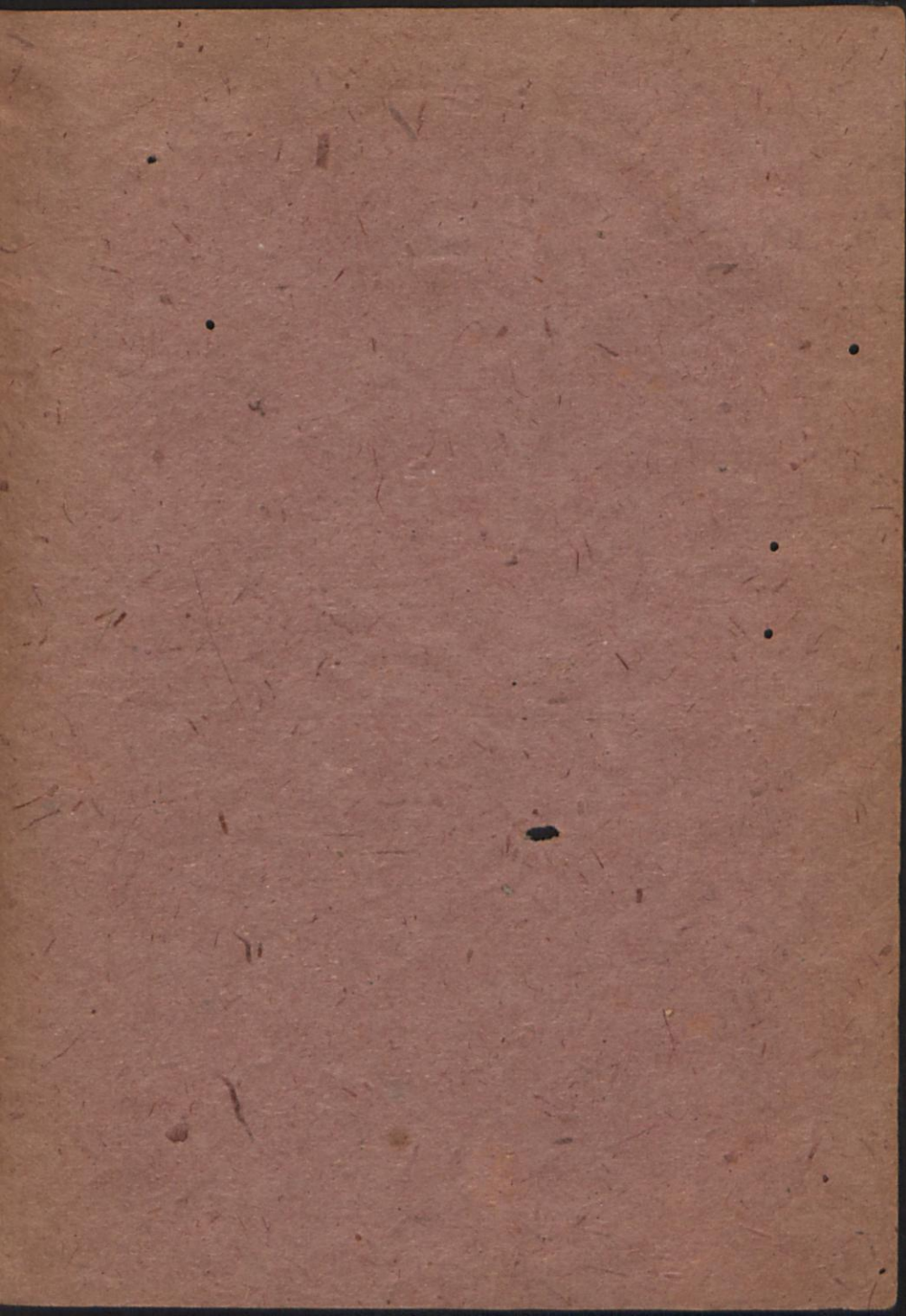
U bramy drewnianej seraju, którą sułtat do me-
czetu chadza, na włócznie zawisnie przez lata.

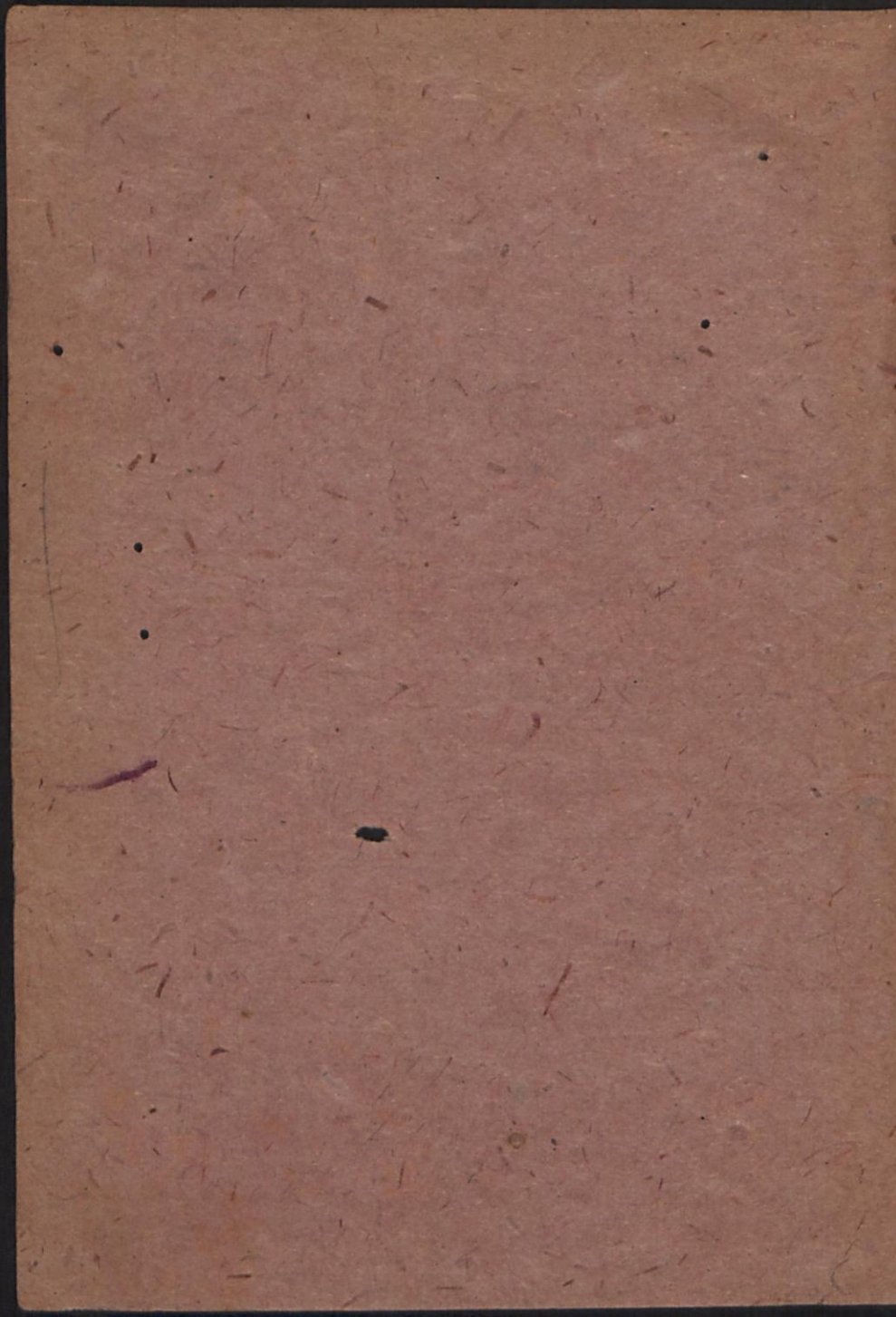
Aż jej ptacy, gnieźdzący się w wieżach Hagiej
Sofii, o której marzył wydarcie, żrenice wydziobią.

Koniec
PIM B

~~1424~~

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMEŃSKIEGO
w Zamościu.





Księgozbiór BP



10085657

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

